



Sport



2 kwietnia 2026
NR 77 (18470)



Cieżar win

Z DRUGIEJ STRONY

Michał Zichlarz

Pretensje do trenera Urbana...



Przykład numer 1. W pierwszym roku pracy trenera Jana Urbana w Górniku, a było to w sezonie 2021/22, działo się tyle, że można by obdzielić kilka innych ligowych klubów! Zespół w tabeli skończył na odległym 8. miejscu, a bilans bramek miał 55 do 55. W grach Górników padło rekordowe 110 goli! Kibicom i ekspertom taka otwarta gra bardzo się podobała. Było o czym mówić, co pisać, na co patrzeć i komentować. Od Górnika trenera Urbana więcej bramek strzelili wtedy tylko medaliści, mistrz Legia 67 bramek, wicemistrz Raków 60 i brązowa Pogoń 63. Skończyło się skandalicznym pierwszym z dwóch zwolnień cenionego trenera z Górnika, ale to oczywiście osobny temat.

Przykład numer 2. Jest marzec i kwiecień 2025. Górnicy po pierwszej kolejce byli wysoko. Wiosna była słabsza, ale zespół grał nieźle. Niestety, mimo prowadzenia i naprawdę dobrej gry w trzech kolejnych grach z GieKSą na inaugurację Nowej Bukowej, z Legią u siebie, a także z Zagłębiem w Lubinie, to były trzy porażki po 1:2. Skończyło się drugim niezrozumiałym zwolnieniem trenera Urbana, którego kontrakt i tak dobiegał końca.

Przykład numer 3. Gramy mecz czterolecia ze Szwecją. Gramy naprawdę dobrze, przyjemnie się na to patrzy. Jak ktoś oglądał wcześniej często występy Górnika za trenera Urbana, to nie jest aż tak zaskoczony. To przecież szkoleniowiec wywodzący się z hiszpańskiej szkoły, tam grał, tam mieszka, osiągnął futbolem „na tak”, ładnym, technicznym, jaki sam zresztą prezentował na boisku. Niestety, w futbolu za wrażenie artystyczne nie przyznają dodatkowych bonusów, w postaci wolnych, karnych. Liczy się tylko skuteczność, to co jest w siatce. Znowu drużyna Jana Urbana gra dobrze, ale schodzi z boiska pokonana.

Klub ma ograniczony zasięg kibiców, reprezentacja Polski, to inna rzecz. Tu jest się na świeczniku cały czas. Polegliśmy w Sztokholmie i nie ma nas na mistrzostwach świata. To futbolowy i finansowy dramat. Na dzień dobry 10,5 mln dolarów przeszło PZPN koto nosa. Straty są olbrzymie. Pewnie za jakiś czas do wszystkich to dotrze.

Podsumowanie. O co mam pretensje do trenera Urbana, którego bardzo lubię, szanuję i mam jak najlepsze zdanie? O brak wyrachowania. Nawet kiedy się z nim rozmawiało, kiedy nie był jeszcze selekcjonerem, to sam wspominał, że raczej lepiej byłoby grać w tyłach czwórką obrońców, o czym zresztą w niedawnym wywiadzie dla „Sportu” mówił jeden z najlepszych defensorów w historii Biało-czerwonych, Antoni Szymanowski. Skoro w defensywie nie jesteśmy mocni, to wzmocnijmy ją. Bądźmy bardziej wyrachowani, pragmatyczni czy cyniczni, jak po meczu mówili, całkiem przytomnie, niektórzy futbolowi eksperci. Co nam z tego, że gramy ładnie, że niby idzie to w dobrą stronę, jak nie ma nas na najważniejszej imprezie sportowej na świecie, jaką są piłkarskie mistrzostwa świata, jeszcze z udziałem - po raz pierwszy w historii - aż 48 ekip?!

O to mam pretensje do Jana Urbana i zawodników, którzy - co tutaj dużo mówić - zawiedli, nie zdali egzaminu. Jak mam wybierać, to wybieram gorszą grę, a konkretny wynik, niż odwrotnie. Trzymam kciuki za powodzenie misji cenionego szkoleniowca w kolejnych miesiącach i oby wyciągnął wnioski z tej naszej mundialowej klęski, bo tak po imieniu wszystko trzeba nazwać...

Najpierw pora na rachunek sumienia kadrowiczów, potem - zadośćuczynienie kibicowskiemu nadziejom

Wielkanocny r

Pycha, chciwość, nieczystość, zazdrość, nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu, gniew, lenistwo - w przededniu największych katolickich świąt nie od rzeczy będzie przypomnienie tzw. siedmiu grzechów głównych. W kontekście Biało-czerwonych oczywiście.

Przede wszystkim dlatego, że nietrudno byłoby do nich... przypasować część naszych indywidualnych i zespołowych zachowań na murawie Strawberry Arena we wtorkowy wieczór. Jeśli marzy nam się stan, w którym amerykański (w sensie kontynentalnym) mundial miałby być ostatnią wielką imprezą bez udziału naszych „orłów”, Jan Urban - na szczęście zostaje w tej pracy na kolejne miesiące albo i (oby) lata - z pokaznym pakietem owych grzechów i niedostatków (czyli wyzwań stojących przed jego podopiecznymi i nim samym) uporać się musi.

1 Niepewność między słupkami

Ostatnie ćwierćwiecze w naszym reprezentacyjnym futbolu to epoka, w której żaden z kolejnych selekcjonerów nie musiał się martwić o obsadę bramki. Począwszy od Jerzego Dudka, poprzez Artura Boruca, a potem długoletnią rywalizację Łukasza Fabiańskiego z Wojciechem

Szczęsnym, trudno się było pomylić w wyborze „jedynki”, której - niezależnie od tegoż wyboru - zazdrościły nam inne futbolowe nacje. Lat tłustych było nie siedem, a dwadzieścia siedem. Ile - na zasadzie biblijnej przeciwwagi - będzie tych chudych? W teorii nie ma powodów do obaw. Ale... Łukasz Skorupski z upływem czasu jawi się golkiperelem coraz bardziej „szklanym”, borykającym się coraz częściej z mniejszymi bądź większymi dolegliwościami. Zaś Kamila Grabarę na złote dziecko polskiej bramki wykreowała - z jednej strony - po trochu epoka mediów społecznościowych, w których sam przez pewien czas budował własny obraz krnąbrnego zawiadziaki i watażki, tak kochanego w polskiej sarmackiej tradycji; z drugiej - pewne „myślenie tunelowe” polskiego kibica. W niedawnym rankingu „Kickera”, ustalonym na podstawie not za ligowe gry, zajął on drugie miejsce w gronie bundesligowych herosów w rękawicach. Warto jednak pamiętać, że w „Wil-

kach” - broniących bezna-dziejnie: są drugie miejsce na liście drużyn z największą liczbą straconych goli - okazji do (dobrych) interwencji ma więcej niż inni. Natomiast - co przypominał niedawno na naszych łamach Jerzy Dudek - Grabara nie miał dotąd okazji, by „zbudować reprezentacyjne doświadczenie, pewność siebie” w koszulce z orzełkiem. W Solnej trudno zrzucić na niego jednoznacznie winę za którąś ze straconych bramek; ale przecież całe nieszczęście koszmarnych 88. minuty (gol Gyokeresa) zaczęło się od jego „gorącej krwi” - niefortunnej próby uruchomienia naszej akcji w mocno niesprzyjających okolicznościach. - Należało w tym momencie tę grę zwolnić - tak ową sytuację skomentował, krótko acz konkretnie, Radosław Majdan (w środy wieczór w „Faktach po faktach”).

Ale.. jeśli nie Grabara, to kto? Ci, których oddech - za kadencji Urbana - miał czuć na swych plecach, nie sprawiają wrażenia na miarę klas Boruca, Fabiańskiego, Szczęsnego...

Straty są dla na

Pierwsze odczucie po ostatnim gwizdku na Solnej we wtorek...

- Oglądałem ten mecz w gronie przyjaciół i wszyscy byliśmy wściekli... Wściekłość i niedowierzanie, to były pierwsze emocje.

Słychać głosy, że gdybyśmy zagrali słabo, przegrali 0:3 - łatwiej byłoby się z tym pogodzić.

- Na pewno tak, ale piłka nożna jest takim sportem, gdzie proste wyliczenia nie działają. Nie ma znaczenia czy ktoś gra ładnie, lepiej, bardziej widowiskowo. Wygrywa ten, kto jest skutecz-

niejszy zarówno w obronie, jak i ataku. Tego nam w tym meczu zabrakło, a szczególnie w obronie. Jeśli traci się trzy bramki w tak ważnym meczu jest bardzo ciężko awansować. Musielibyśmy strzelić cztery gole, a to jest szalenie trudne grając o taką stawkę. To jest główny powód, że nie będzie nas na mistrzostwach świata.

Co to oznacza dla polskiej piłki, nie tylko w tym sportowym wymiarze? Niektóre lamenty są przesadzone?

- Nie są przesadzone, bo to są kolosalne straty. To nie jest tylko piłka nożna, ale wszystko to, co się dzieje wokół niej. Tysiące ki-

biców szycowało się do wyjazdu na mundial. Firmy transportowe, hotelarskie, producenci gadżetów i mnóstwo innych branż odczuje to w mniejszym bądź większym stopniu. Firmy, które przy takiej imprezie zarabiają, teraz będą musiały liczyć się ze stratami. Nie będzie tego entuzjazmu kibiców, do którego co dwa lata byliśmy przyzwyczajeni. PZPN, który finansuje całą polską piłkę na pewno również mocno to odczuje. Ciężko jest tak na gorąco obliczyć straty, ale na pewno będą spore. Najważniejszą stratą jest jednak ta wizerunkowa. Pamiętam jak Sepp Blatter witał mnie na ceremonii losowania

grup po awansie do mundialu w 2002 roku: „Jak miło było znów odkurzyć tabliczkę z napisem Polska po tylu latach”. Wtedy wróciliśmy na wielką imprezę po 16 latach przerwy. Przez tamto zdarzenie zdałem sobie sprawę, co to znaczy nie być wśród najlepszych na tak dużej imprezie.

Dla mojego pokolenia to był pierwszy mundial z udziałem Polski w życiu. Teraz to jest pierwsza duża impreza od 2014 roku, gdy nas nie ma. Łatwo przyzwyczailiśmy się do dobrego, a czy właśnie historia w pewnym sensie nie zatoczyła koła?



Fot. PAP/Leszek Szymański

Wahunek sumienia

2 Muszkieterów trzech. A może jednak czterech?

Jan Urban nie szedł do reprezentacji z hasłem „trójki stoperów” wypisanym na swych trenerskich flagach. Owszem, próbował takich rozwiązań w pracy w Górniku, zdawał się jednak być pod tym względem „tradycjonalistą”. Okoliczności te na „nie”, czyli choćby brak klasycznego lewego obrońcy na reprezentacyjnym poziomie; i te na „tak”, czyli niespodziewana eksplozja formy duetu Jan Bednarek – Jakub Kiwior, szczególnie dla nas zestawionego w Porto, sprawiły, że zdecydował iść pod (swoją wewnętrzną) wiatr. Niestety, poszukiwania trzeciego muszkietera są trudne; wyjąwszy debiutancki (dla obu panów – selekcjonera i zawodnika) mecz w Rotterdamie, Przemysław Wiśniewski nie gwarantuje na razie pewności niezbędnej w kadrze. Co więcej: i Bednarek, i Kiwior w koszulce z orzełkiem bardziej niż Smoki przypominają... amatorów smoczków i butelki,

w pampersach pełnych... strachu. „Dla mnie zawsze gra czwórka obrońców będzie bardziej przejrzysta, bardziej ułożona” – mówił parę dni temu na naszych łamach Antoni Szymanowski. Niewykluczone, że jesienią w tym temacie będziemy mieć do czynienia z poligonem doświadczalnym w meczach Ligi Narodów.

3 Wahania w sprawie wahadeł

Bezpośrednio z powyższym tematem wiąże się oczywiście kwestia „wahadeł”. W zasadzie można by zatrzeć ręce z radości: lista kandydatów na tę pozycję (niezależnie od strony) jest długa i mogłaby powodować wyłącznie pozytywny ból głowy u selekcjonera. Matty Cash, Nicola Zalewski, Michał Skóraś, Oskar Pietuszewski, w razie potrzeby Jakub Kamiński, a nawet – jeśli kiedykolwiek odzyska formę sprzed lat – Przemysław Frankowski. Imponujące, co nie? Sęk w tym, że – może z wyjątkiem Casha

– zadania obronne nie są naturalną cechą żadnego z wymienionych. Raczej postawą wyuczoną na potrzeby wręcz – chciałoby się rzec – chwili. Póki z tyłu głowy mają pakiet zadań wyznaczonych przez selekcjonera, nasza gra w defensywie funkcjonuje w miarę poprawnie. Kiedy górę bierze natura – czyli parcie do przodu, kończy się to tak, jak w doliczonym czasie gry meczu ze Szkocją, kosztującego nas spadek z Dywizji A Ligi Narodów. Przykład najświeższy – to nieporozumienie między Kubą Kiworem a Pietuszewskim z 88. minuty w Solnej, którego ceną okazał się brak Białoczerwonych na mundialu... Na to nasze spostrzeżenie też mamy stosowny cytat. - Nie mamy wahadłowych, którzy potrafiliby również bronić, a nie tylko atakować – mówi (poniżej) Jerzy Engel...

4 Odpowiedzialność, bo kolega tego nie załatwi

Zalewski, Pietuszewski, Skóraś, Kiwior – każde z tych

nazwisk to zawodnicy daleko (lub bardzo daleko) od tzw. kwiecień wieku. W piłkę grać będą jeszcze długo, zapewne w wielkich klubach i za jeszcze większe pieniądze. Nic, tylko palce liżać na taką perspektywę? No więc... niekoniecznie, jeśli wyszarpię się z ich reprezentacyjnego dorobku konkretne skrawki występów – te z Solnej, wymagające wypunktowania, już wskazał. Inne wskazać nie trudno. - Gdy widziałem, w jakim tempie Kuba Kiwior i Michał Skóraś biegli za kontrą Albańczyków, która mogła im przynieść gola na 2:0, to się wściekłem: „Czy sobie, chłopcy, nie zdajecie sprawy, o co gracie?” - relacjonował nam swój stan ducha po obejrzeniu półfinału barażu Jan de Zeeuw. Holender przecież, ale jakże emocjonalnie reagujący na taki brak odpowiedzialności reprezentantów jego drugiej ojczyzny. Bo chyba tak nazwać trzeba postawę obu zawodników, polegającą na założeniu: „Inni załatwią to za mnie”.

5 Sto dziesięć procent do sukcesu

Z odpowiedzialnością – lub jej brakiem – wiąże się też bardzo ściśle kwestia mentalności. Trudno sięgać aż do czasów Zbigniewa Bońka; faktem jest jednak, że w kolejnych drużynach, które zabierały kibicowskie oczekiwania na mundiale czy finały EURO, zawsze znajdował się ktoś, kto w trudnych chwilach potrafił – mówiąc obrazowo – na boisku wytargać kolegów za uszy, dać kopa – właśnie! - mentalnego. Sprawić, że ślaniający się na nogach (we wtorek dotknęło to na przykład Matty'ego Casha) zawodnicy dawali jeszcze dodatkowe 10 procent wyszarpane z wątroby, częstokroć nieodzowne do odniesienia sukcesu. Jacek Bąk, Tomasz Kłos, Kamil Glik... Łatwiej było przy takich – przecież nie zawsze oczywistych – postaciach liderów o studziesięcioprocentowe zaangażowanie, bo... prostu wstyd było inaczej. Jan Urban to „coś” w sobie. Ale Jan Urban już na boisko nie wejdzie, jego

rola mentalnego motywatora kończy się z ostatnim słowem przedmeczowej odprawy. - To nie było tak, że mieliśmy jedenastu ludzi, którzy mogli przechylić tę szalę zwycięstwa na naszą korzyść. Było ich może pięciu, może sześciu; reszta nie doszła do tego poziomu, odstawiała mentalnie – zauważył jeszcze na murawie w Solnej legendarny Dariusz Szpakowski...

Mocne postanowienie poprawy

Niedziela Palmowa już za nami. „Hosanna” – wyśpiewali już nasi reprezentanci na cześć pięknego futbolu (bo przecież w większości taka była ich gra w Solnej), ale ostatecznie pozwolili ukrzyżować własne – i kibicowskie – nadzieje na udział w piłkarskim święcie na amerykańskich boiskach. Decyzja Cezarego Kuleszy o przedłużeniu kontraktu Jana Urbana i jego sztabu daje jednak na szczęście perspektywę rezurekcji...

Dariusz Leśnikowski

as kolosalne

Rozmowa z Jerzym Engelem, selekcjonerem w latach 2000-2002



- Aż tak bym nie powiedział, bo mamy obecnie zdecydowanie inną, lepszą sytuację niż to, co było 25 lat temu. Piłka w Polsce jest w zupełnie innym miejscu. Mamy fantastyczne stadiony, miejsca pobytowe, tysiące orlików, boisk przy szkołach. Tu się bardzo dużo zmieniło, a efektem tego jest generacja młodych piłkarzy na którą czekaliśmy wiele lat. Ma kto wejść do tej reprezentacji i ona na pewno będzie się zmieniać. Mamy Kubę Kamińskiego, wchodzącego dopiero Oskara Pietuszewskiego i wielu innych graczy, którzy już są w stanie wziąć

ciężar gry na swoje barki. Potrafią grać futbol widowisko i z przyjemnością się to ogląda. W moich czasach tego nie było, to był dość siermiężny obraz piłki przypominając sobie choćby jakie były stadiony, problemem było gdzie przeprowadzić zgrupowanie. W tamtym czasie na powrót otworzyliśmy bramy polskiego futbolu, ktoś musiał w końcu przełamać tę psychologiczną niemoc. Właściwie od tamtego momentu regularnie gramy zarówno na mistrzostwach świata, jak i Europy. To jest doświadczenie, które zbieraliśmy

latami, bo kupić nie da się go nigdzie.

Bardzo szybko ogłoszone zostało, że Jan Urban dalej będzie prowadził reprezentację. To dobra decyzja? Co należy zmienić?

- Tak, ja nie widzę potrzeby zmiany na stanowisku selekcjonera. Widzę za to potrzebę przejścia na grę czwórka w obronie. Błędy w defensywie, które powodują, że cały czas męczymy się strasznie w wielu meczach spowodowane są tym, że my nie potrafimy grać trójką obrońców, ani nie mamy wahadłowych, którzy

potrafiliby również bronić, a nie tylko atakować. Tutaj leży cały problem, bo stracić trzy bramki z tak prosto grającym zespołem jak Szwedzi, to jest duża plama.

Szwedom będziemy mieli okazję zrewanżować się w Lidze Narodów, ale to chyba marne pocieszenie. Wprost ciężko uwierzyć, że nie możemy ich pokonać na wyjeździe od 96 lat...

- Skupiając się tylko na tym ostatnim, to zdecydowałbym nierozsądny sposób bronięcia. To niestety ciąży na tej reprezentacji i ciążyć będzie jeszcze długo. Nieumiejęt-

ność awansu w momencie, gdy 48 drużyn gra na mundialu jest bardzo przykra. Wszyscy teraz przez to cierpiemy.

Żywy jest temat przyszłości w reprezentacji Roberta Lewandowskiego, który zresztą sam rozegrał do czerwoności swoim wpisem. To mógł być ostatni jego mecz w kadrze?

- Pod wpływem emocji robi się różne nieprzemyślane rzeczy, a gdy one opadną widzi się pewne rzeczy zupełnie inaczej. Uważam, że Robert jest potrzebny tej reprezentacji, że Szweda-

mi zagrał dobry mecz, choć bramki nie strzelił. Jako kapitan może naszej drużynie jeszcze wiele dać.

W Polsce lubimy się pocieszać nieszczęściem innym. Ból Włochów jest chyba jeszcze większy?

- Oni mają swoje problemy, my mamy swoje. Pamiętam jak pocieszałem się, że z mistrzostw świata w Korei i Japonii wracaliśmy pierwszym samolotem z Francją czy Portugalią, ale to jest żadne pocieszenie.

Rozmawiał
Mariusz Rajek

Kapitan na rozdrożu

Blisko dwa miliony polubień w kilka godzin zebrał pomeczowy wpis Roberta Lewandowskiego w mediach społecznościowych. Mocno symboliczny i równie zagadkowy.

Wpis to zresztą duże słowo. „Lewy” zamieścił na Instagramie własne zdjęcie z Solnej, z opaską kapitańską w rękę. Jednocześnie tę samą fotkę na Instastories opatrzył - a właściwie zrobiły to osoby odpowiadające za jego PR - podkładem muzyczny w postaci utworu „Time to say goodbye” („Czas się pożegnać”) w wykonaniu Sarah Brightman i Andrei Bocellego. PR-owcy snajpera „umią w te klocki”: post zauważony został nie tylko w Polsce, ale i daleko poza granicami naszego kraju, wywołując lawinę komentarzy, spekulacji, emocji. Lewandowski został o niego zapytany jeszcze w Szwecji, kilkadziesiąt minut po meczu (patrz niżej). I marketingowo też stanął na wysokości zadania: jego słowa (- To nie jest żadna deklaracja - powiedział) nie wyjaśniły przecież niczego.

Świat zastygł w oczekiwaniu

Świat zastygł w oczekiwaniu, które syntetycznie ujął na przykład hiszpański dziennik „Mundo Deportivo”. „Oprócz polskiego rozczarowania, w powietrzu unosiło się pytanie, czy w wieku 37 lat może to być ostatni mecz Lewandowskiego w reprezentacji” - zauważyli Hiszpanie. O symbolikę instagramowego wpisu pytają media w Niemczech. Wcześniej zaś - o czym mówił na naszych łamach były dyrek-

tor polskiej kadry, zagadkę zadawali sobie Holendrzy. - W holenderskiej telewizji, widząc po meczu z Albanią „Lewego”, który ocierał łzy, zastanawiano się, czy... to nie był jego ostatni mecz w kadrze na polskiej ziemi - podkreślał Jan de Zeeuw. „Lewy” - gwiazda światowego formatu - siłą rzeczy nie jest postacią

165
MECZÓW
w reprezentacji Polski za-
grał w ciągu niemal 18 lat

89
GOLI
strzelił dla Biało-czerwonych

99
SPOTKAŃ
kadrowych rozpoczynając z kapitańską opaską na rękę

pokorną. Wbrew pozorom jego konflikt z poprzednim selekcjonerem, Michałem Probierzem, nie był pierwszym - choć oczywiście najbardziej spektakularnym - przypadkiem „pokazywania pazurków” na linii trener-zawodnik, gdzie (przynajmniej tak się wydaje) hierarchia szef - podwładny powinna być jasna i oczywista. Za kadencji

Jana Urbana supersnajper znów jednak zdawał się być „Lewym” z najlepszych okresów reprezentacyjnych. W siedmiu meczach, w jakich zagrał pod jego skrzydłami, zdobył cztery gole i „poprawił” trzema asystami. Ale w Solnej, w najważniejszym momencie, niestety nie dał liczb. I dość powszechnie oceniano go jako jednego z najsłabszych w naszej ekipie...

Oczami selekcjonera, oczami „Zielka”

- To nie jest moment, by rozmawiać o takich sprawach. Na pewno takie rozmowy się odbędą, będziemy chcieli znać opinię Roberta, czy chciałby jeszcze pomóc reprezentacji, czy może ma inne plany. Ale to nie jest moment - Jan Urban, oczywiście zdruzgotany porażką, nie chciał na gorąco odnosić się do „gorącego tematu” przyszłości kapitana. Że z nim rozmawiać potrafi, dowodzi nie tylko fakt wspomnianych dobrych gier „Lewego” pod jego skrzydłami, ale i powrotu piłkarza do kadry po ubiegłorocznej deklaracji o zawieszeniu w niej gry.

Pytanie, czy Lewandowski nowej reprezentacji - a przecież proces jej przebudowy już trwa - będzie niezbędny. - Miejmy nadzieję, że Robert będzie kontynuował grę w kadrze. Ma 38 lat, ale Cristiano ma 41 lat, dalej gra i świetnie sobie radzi. „Lewy” świetnie się prowadzi, to wielki

CZY WIESZ, ŻE...

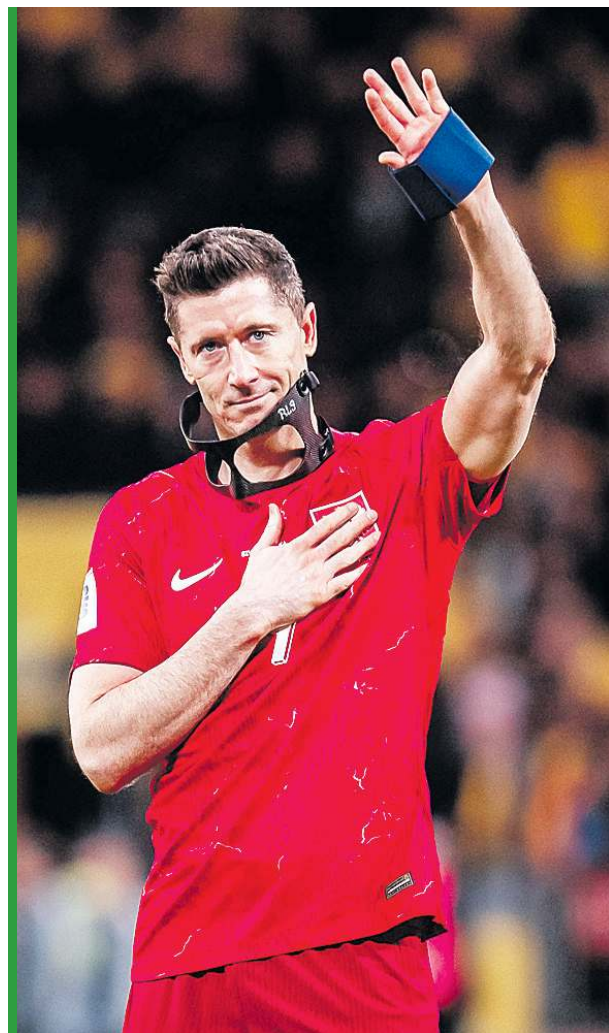
■ Kiedy Robert Lewandowski debiutował w zespole narodowym (10 września 2008), Oskar Pietruszewski, dziś kolega z reprezentacyjnej szatni, miał... cztery miesiące.

piłkarz, legenda. Potrzebujemy go i myślę, że on wciąż ma jeszcze dużo do zaoferowania - mówił po końcowym gwizdku Piotr Zieliński. Ale jego słowom - po ponad dekadzie wspólnej gry z napastnikiem Barcelony w kadrze - trudno się dziwić.

Byle do EURO 2028?

Natomiast w środowisku opinii bywają mocno podzielone. - Nawet biorąc pod uwagę fakt, że akurat w Solnej nie zagrał wielkiego meczu, koniecznie trzeba go namówić na to, by przynajmniej w najbliższym cyklu eliminacyjnym, czyli w Lidze Narodów i w kwalifikacjach do EURO 2028, jeszcze zagrał - mówił nam w późny wtorkowy wieczór Michał Listkiewicz.

Odrobinę wątpliwości natury... geograficznej ma jednak na przykład Cezary Kucharski. - Nie wiem, co robi Lewandowski. To wszystko może zależeć od tego, gdzie będzie w przyszłości grał. Jeśli w Stanach Zjednoczonych, podróże byłyby pewnie męczące dla niego - podkreślał w rozmowie z portalem „Sportowe Fakty” były agent „Lewego”.



Mowa ciała Roberta Lewandowskiego mówi wiele...

A może i dwieście?

Waldemar Matysik, który „na obczyźnie” niezwykle mocno przeżywa wszystkie mecze Białoczerwonych, spogląda na napastnika czysto merytorycznie. - Z Albanią oczywiście strzelił arcyważną bramkę. Ale w pressingu już nie daje tyle, co kiedyś. Już tak nie biega - mówi „Sportowi” medalista hiszpańskiego mundialu. Zalewski, Kamiński, za chwilę „świeża krew” z młodzieżówki... Konkurencja, mam nadzieję, będzie rosła - uważa legendarny pomocnik armady Antoniego Piechniczka. - Ja bym na jego miejscu chyba skończył - wygłasza dość jednoznacznie opinię, przywołując jeszcze przykład

Lothara Matthaeusa, który w wieku 39 lat, dwie dekady po reprezentacyjnym debiucie, rozmienił swą legendę na drobne w finałach EURO 2000. - W tej końcówce grał tak, że... śmiechu warte - przypomina. Ostatecznie zostawia jednak otwartą furtkę. - Ale jeśli Robert czuje się na siłach, niech to jeszcze ciągnie. Życzę mu i 200 gier z orzełkiem! Nie ma wątpliwości, że do momentu podjęcia przez kapitana ostatecznej decyzji, temat będzie żył własnym życiem wśród kibiców. A gdy już ją podejmie, zapewne... wywoła jeszcze większe emocje - i to niezależnie od tego, jaka będzie!

Dariusz Leśnikowski

To nie jest deklaracja

Rozmowa z Robertem Lewandowskim, kapitanem reprezentacji Polski

Co pan czuł na gorąco po takim meczu?

- Ciężko cokolwiek powiedzieć, bo nie wiem, czy słowa, które znał trener i my, właściwie opisują to, co czujemy. Futbol bywa brutalny. Możesz grać, strzelać bramki, możesz dwa razy wracać do gry, a na końcu zostajesz z niczym. Dla sportowca to najgorsze uczucie, więc to boli. Byliśmy blisko i tak naprawdę wracamy do domu bez niczego. Jest ból i wielkie rozczarowanie.

Dobrze kreowaliśmy, posiadaliśmy piłkę, ale może jeszcze nie jesteśmy na etapie, by dobrze się bronić?

- Ta trzecia bramka w końcówce meczu po dobitkach, po słupku, najbardziej bolała. Czułem wewnętrznie na boisku, że z każdą minutą, czy to w drugiej połowie, czy w ewentualnej dogrywce, nasze szanse by wzrastały. Że losy meczu się odmiennia. Że chociaż tracimy bramkę, to Szwecja jest drużyną, którą mo-

żemy pokonać. Jednak ten zabójczy gol dał Szwecji awans... A szkoda, bo nie stwarzała więcej sytuacji. Z gry nie wyglądała lepiej od nas.

Byliśmy na pięciu największych turniejach Europy i świata z rzędu, na szósty nie pojedziemy. Dotarło już to do pana?

- Może dopiero dotrze i zdam sobie sprawę, że nie jedziemy. Na razie jeszcze rozgrywam w głowie ten mecz. Najgorsze uczucie

będzie, gdy zadamy sobie pytanie, co się wydarzyło; to będzie najsmutniejszy moment. Poczucie rozczarowania. Muszę się zastanowić, co dalej. To jest najgorsze, gdy będziemy musieli zdać sobie sprawę, że nie pasowaliśmy na mundial.

Co dalej z Robertem Lewandowskim?

- Nie wiem. Muszę najpierw przemyśleć parę rzeczy. Zastanowić się. Nie składam żadnych deklaracji. Wra-

cam do klubu, mam jeszcze do rozegrania trochę meczów, więc na te moje znaki zapytania z tyłu głowy sam sobie będę musiał odpowiedzieć.

Krótko po końcowym gwizdku w pańskich mediach społecznościowych pojawiła się pańska fotografia z opaską kapitana utrzymaną w ręce. Postawi nie towarzyszył żaden wpis, ale podkład muzyczny, czyli utwór

„Time to Say Goodbye”. Chciał pan w ten sposób coś ważnego powiedzieć światu? Kibicom?

- To nie jest żadna deklaracja. Kibice dopingowali nas, wierzyli w nas i wiem, że im jest tak samo ciężko jak nam. Dla mnie jest to wielka duma, chciałem im po prostu złożyć podziękowania. Ale jak z drugiej strony jesteś rozczarowany, totalnie rozbity... Mogę im tylko podziękować w imieniu całej drużyny.

Notował ZC

O mojej przyjaciółce, kibicowskiej traumie

Wiadomo, że hasło "obyś żył ciekawych czasach" jest tak naprawdę przekleństwem. Nie dla wszystkich jednak... Wyjątkiem są kibice. Wiem coś o tym.

Anglik Nick Hornby trzy dekady z okładem temu napisał "Futbolo- wą gorączkę". To chwytliwy opis graniczącej z uzależnieniem manii kibicowania Arsenalowi, zajęciem kiedyś wyjątkowo niewdzięcznym, wręcz bolesnym w oczekiwaniu na jakiegokolwiek sukces. To sekcja zwłok męki, analiza przyglądania się jak wygrywają inni, to definicja pokręconej tożsamości nabytej poprzez rozczarowania i ból. Lata 60., 70. i 80. dla Kanonierów to przecież głównie pasmo udręki, żałości i rozczarowań. Czasami człowiek wierzy w swoich latach, wydawałoby się, że ma ku temu racjonalne podstawy, ale jeśli jednak źle wybierze, to zamiast spełnienia towarzyszyć mu głównie głównie będzie "niepoddawanie się nigdy".

Istota smutku

To właśnie jest to znie- walające, przydusające, zginające kark do ziemi uczucie. Ba, pisząc wprost: dla mnie - czyli człowieka, który przyszedł na świat i wychował się akur- rat w chwilach gdy polska piłka była najlepsza w jej dziejach - przeżywanie braku awansu na mundial to wręcz trauma. Urodziłem się bowiem w wieku złotym, czyli na początku lat 70. Polacy byli wówczas wśród najlepszych na świecie, nieprzerwanie przez dekadę, mitem założycielskim jest dla mnie turniej Espana'82 i medal mundialu Obecne chwile, kurz opadający po meczu Szwecji z Polską, sprawiają, że zno- wu czuję się jakbym... miał 18 lat. Jakim cudem? Otóż właśnie wtedy, pierwszy raz z mojego życia, Polska nie zakwalifikowała się na mistrzostwa świata. Dla mnie stanem normalnym, punktem wyjścia zawsze było, że Biało-czerwoni co najmniej wychodzą w ich trakcie z grupy...

Wtedy, przed II Mon- diale, musiałem uświadomić sobie gorzką prawdę: szczęśliwe dzieciństwo bezpowrotnie mija i kończy się sielski dla mnie czas... Tak się żyło, że było to także przy okazji meczu ze Szwecją. Rok 1989 to czas przełomu, pożegnania się z PRL-owską rzeczywistością. Szwedzi musieli wygrać ma Stadionie Śląskim i wygrali. Zapamiętałem jako powiew nowego świata... puszki po piwie zosta- wione na trybunach przez kibiców gości. Puszki! Do



To już jest koniec, nie ma już nic...

dziś pamiętam jak wyglądały, niektóre były ozdo- bione w... galeony, wielkie żaglowce. U nas piwo piło się wtedy jedynie jedynie ze szklanych butelek, puszki jawiły się jako coś wyjąt- kowo bajeranckiego i god- nego podziwu. "Zwariowa- łeś Czado, zachwycasz się puszkami po piwie?!" - ktoś pokłupie się w czoło. Wiem, dziś brzmi to śmiesznie, ale kto urodził się w latach 70., doskonale pamięta, że ko- lejna dekada była... wyjąt- kowo zgrzebna.

Absencja w mundialach wywołuje we mnie paskud- ne odczucia. Kiedy odpada- liśmy w przedbiegach - za- wsze dziwiłem się, że świat może istnieć, że ludzie - jak gdyby nigdy nic - mówią do siebie, robią zakupy, chęszą się, śpieszą żeby gdzieś zdążyć... Człowiek uświadamiał sobie - i nadal uświadamia - że w takich sytuacjach trzeba być twar- dym. Trzeba być dorosłym. Żyć dalej. Czasami to jednak bardzo trudne...

Muszę w tym miejscu podkreślić z naciskiem i z całą żarliwością na jaką mogę stać istotę mego smut- ku: otóż mój autentyczny żal nie niesie za automa- tycznie sobą pretensji do całego świata. Wręcz prze- ciwnie: nie mam żalu do selekcjonera i piłkarzy o to, że się nie udało. Nie mam żalu do kogokolwiek i nie znajduję wcale winnych. Ba, nawet ich nie próbuję

szukać... Jedynie oddycham smutkiem, a w krwiobiegu mam żal. Ta żal może być dla dziennikarza przy- krym, ale wydajnym pali- wem i jednocześnie smut- nym natchnieniem...

Lista klęsk i rozczarowań

W 1989 roku zrozumia- łem, że Polska nie jest już światową potęgą w piłce nożnej, w co wcześniej na- wet nie musiałem wierzyć, bo wyniki na mundialach jednoznacznie wskazywały, że to prawda! Nagle zabrakło jednak podstawowego, najbardziej symbolicznego sposobu żeby ją potwier- dzać. Od tego czasu kolejne lata były już dla mnie i mi podobnych zmieniającym się pasmem udręki i na- dziei, nigdy już spełnienia...

Posucha na dzień dobry mogła zwalić z nóg. "Wielka Smuta" trwała 9 cykli elimi- nacyjnych! No bo tak:

1991: - brak awansu na mistrzostwa Europy w Szwecji. Śladowe zainte- resowanie kibicowskie. Na mecz z Turcją w Warszawie przyszło... 3000 kibiców. Być może dlatego stolica na kolejny mecz musiała czekać sześć lat. W tym czasie Stadion X-lecia(dzi- siejszy Narodowy) był naj- większym targowiskiem w Europie. Najbardziej pa- miętam bajerancki mecz z bodaj najsilniejszą w dzie- jach Irlandią i remis 3:3, gdzie Polacy gonili wynik

i - dzięki Janowi Furtokowi i obecnemu selekcjonerowi Hanowi Urbanowi - dogo- nili. To był jednak jedynie śmiech przez łzy... Polska zajęła w grupie trzecie miejsce na cztery zespoły: za Anglią, która wywalczy- ła awans i wspomnianym Eire, a przed Turcją;

1993: - brak awansu na mistrzostwa świata w USA, jak teraz. "Aj, Jezus Maria" - krzyczał wtedy na Stadionie Śląskim Dariusz Szpakowski, gdy w remi- sowym meczu z Anglikami Marek Leśniak marnował idealną okazję. I to dziś jest wspominane. W dodatku zwierzęce zachowania ban- dydychi hord kibolskich sprawiły, że przestarały Stadion Śląski zamknięto na cztery lata. Polska zaję- ła czwarte miejsce w grupie za Norwegią i Holandią (obie awans), a także... Anglią, a przed Turcją i San Marino;

1995: - brak awansu na mistrzostwa Europy w Anglii. Nie pomogły drama- tyczne i zwycięskie mecze w Zabrzu ze Słowacją i Izra- elem. Symbolem tamtych eliminacji stała się kurio- zalna samobójcza bramka Józefa Wandzika w Buka- reszcie, nie pomogła hero- iczna gra jego następcy An- drzeja Woźniaka "Księża Paryża" na Parc des Prin- ces... Polska zajęła czwarte miejsce w grupie na sześć zespołów - za Rumunią, Francją (awans) i Słowacją,

a przed Izraelem i Azerbejdżanem. Na koniec elimina- cji zawstydzająca klęska na Tehelnym Polu, gdzie Pola- cy kończyli w dziewiątkę...

1997: - brak awan- su na mundial we Francji. Druga kadencja Antoniego Piechniczka zaczęła się od skandalicznego zachowa- nia reprezentantów pod- czas towarzyskiego meczu z Rosją w Moskwie, gdzie Wojciech Kowalczyk kopął bułki z prowiantu, obrażo- ny, że musi poważnie trak- tować drużynę narodową. Polska zajęła trzecie miej- sce w grupie na pięć zespó- łów - za Anglią i Włocha- mi (awans), przed Gruzją i Mołdawią;

1999: - brak awansu na ME w Belgii i Holandii. Kuriozalna kadencja Janu- sza Wójcika, który "zmienił szylid i jechał dalej" zakoń- czyła się w... Szwecji. Hen- ka Larsson i jego kumple, a także Anglicy - byli za mocni. Nie dalo się do ni- kogo zadzwonić... Polacy wyprzedzili za to Bułgarów i Luksemburczyków. Po- tem Jerzy Engel przełamał w kolejnych eliminacjach tę nieszczesną passę...

2003: - jednak po kata- strofie na mundialu w Ko- rei i Japonii nieudany atak na ME w Portugalii. Plus: pierwsze wyjazdowe zwy- cięstwo z Węgrami; czeka- liśmy na to 82 lata, widziałem to z trybun w Budapeszcie. Gorzej poszło z Łotwą u sie- bie. Po zawstydzającej po- rażce niedługo później pra- cy zrezygnował selekcjoner Zbigniew Boniek. Polska zajęła wówczas w grupie trzecie miejsce: za Szwecją (awans), Łotwą, a przed Węgrami i San Marino (je- dyne zwycięstwo o punkty selekcjonera Bońka).

2009: - po dwóch zwy- cięskich eliminacjach - na MŚ w Niemczech i na ME w Austrii i Szwajcarii, po-

wrót do normy. Klęska w bardzo przeciętnej gru- pie. Leo Beenhakker nie był w stanie wycisnąć nic więcej z tej drużyny. Polska zaledwie na piątym miejscu (sic!) na sześć drużyn. Za Słowacją, Słowenią, Cze- chami, Irlandią Północną, jedynie przed San Marino, któremu bramkę w debiu- cie strzelił młodziutki Ro- bert Lewandowski... Wielu głupców przyłączyło się wtedy do bojkotu repre- zentacji Polski. Wściekły prezes PZPN Grzegorz La- to zwolnił wtedy Holendra przed kamerami po wyjaz- dowej klęsce ze Słowenią.

2013: - po udziale w EU- RO 2012 bez eliminacji jako gospodarz. Polska nie dała rady w starciu o awans do brazylijskiego mundialu. Zajęła czwarte miejsce na sześć ekip: za Anglią, Ukra- iną i Czarnogorą, a przed Mołdawią i San Marino.

Wtedy miał miejsce ostatni dotąd strzał. Po- tem nastąpiła okazała se- ria awansów, z jednym bardzo dobrym występem w finałach, który zdarzył się podczas mistrzostw Eu-ropy w 2016 roku Polska dopiero w rzutach karnych przegrała pierwszy w dzie- jach awans do czołowej czwórki ME - z późniejszym mistrzem Portugalii. Wy- dawało się, że pozycja Pol- ski jest ustabilizowana, cze- kaliśmy na kolejny turniej, w trakcie którego nie było- by tylko meczów otwarcia, meczów o wszystko i me- czów o honor... Nie docze- kaliśmy się.

Puenta? Tylko jedna. Chciałbym bardzo żyć w ciekawych czasach - dla polskiej piłki reprezenta- cyjnej! Czy jednak za mo- jego życia takie dla Biało- czerwonych jeszcze w ogó- le nadejdą? Hmm...

Paweł Czado

DLA „SPORTU”

ANTONI PIECHNICZEK

uczestnik dwóch mundiali jako selekcjoner reprezentacji, współtwórca trzeciego miejsca w świecie

Bardzo ubolewam nad tym co się stało. Reprezentacja Polski rozegrała bar- dzo dobry mecz, mogła się podobać. Trochę mi przykro, bo mam wrażenie jakby rozstrzygnięcie było dla nie- których pretekstem, żeby dowalić, ukłuć, pretekstem do szukania winnych. W mojej opinii Jan Urban powinien pozostać na stanowisku i móc kontynuować proces budowy reprezentacji. Zastanawia mnie jedynie liczba piłka- rzy zabieranych na zgrupowania przedmeczowe. Tam powinni się już znajdować tylko zawodnicy mający realne szanse na występ.



not. pacz

Nie zwalniają

We Włoszech i Danii ogromny zawód z powodu porażek w barażach, ale selekcjonerzy reprezentacji tych krajów na razie pozostają na stanowiskach, choć muszą mierzyć się z krytyką.

ELIMINACJE MŚ

Gennaro Gattuso w czerwcu został selekcjonerem reprezentacji Włoch, zastępując Luciano Spallettiego. Z góry zakładano, że nowemu trenerowi trudno będzie bezpośrednio awansować do mistrzostw świata. Włosi pod wodzą poprzednika stracili zbyt wiele punktów, a Norwegowie byli zbyt silni. Ostatecznie skandynawska ekipa zakończyła eliminacje bez straty punktów, na koniec pokonując też ekipę Gattuso 4:1. Jednak poza tym spotkaniem Włosi od momentu zatrudnienia byłego środkowego pomocnika nie stracili punktu. Byli faworytami do awansu w swojej ścieżce barażowej. Skończyło się natomiast na porażce w finale z Bośnią i Hercegowiną po serii rzutów karnych, gdy Italia przez większość rywalizacji grała w osłabieniu po czerwonej kartce dla Alessandro Bastoniego.

- Moi zawodnicy nie zasłużyli na porażkę po takim występie. Pokazali zaangażowanie, włożyli serce w spotkanie. Jestem dumny z piłkarzy i czuję ból, bo wyjazd na mistrzostwa był ważny dla nas, naszych rodzin i całego narodu - powiedział Gennaro Gattuso. Włosi nie pojedą tym samym na trzeci



Porażka z Bośnią i Hercegowiną była bolesnym ciosem dla Gennaro Gattuso.

mundial z rzędu. Mimo tego prezes włoskiej federacji stwierdził, że nie ma zamiaru zmieniać selekcjonera.

Zadowolony ze współpracy

Zawód odczuwalny jest też w Danii. Podopieczni Briana Riemera przegrali na wyjeździe z Czechami, dzielnie walcząc do ostatniego gwizdka. Gospodarze bly-

skawicznie wyszli na prowadzenie. Duńczycy wyrównali w drugiej połowie, doprowadzając do dogrywki. W niej znów Czesi zdobyli gola, ale Duńczycy kolejny raz zdołali odpowiedzieć trafieniem. W rzutach karnych przyjeźdźni zawiedli jednak na całej linii. Do siatki trafił tylko Christian Eriksen. Spudłowali natomiast Rasmus Hojlund, najlepszy strzelec Napoli

w tym sezonie, oraz bardziej doświadczeni Anders Dreyer i Mathias Jensen.

Riemer przed meczem mówił, że starcie z Czechami będzie najważniejszym w jego karierze. Teraz w Danii trwa debata na temat tego, czy nadal powinien być selekcjonerem. Peter Moller, dyrektor Duńskiego Związku Piłki Nożnej na razie stwierdził, że kontrakt tre-

nera obowiązujący do 2028 roku nie zostanie zerwany. Z kolei Bo Henriksen, ekspert duńskiego TV 2 Sport, skomentował porażkę słowami o najciemniejszym rozdziale w historii duńskiego futbolu. W obronę trenera ruszył Eriksen. - Jestem zadowolony ze współpracy z selekcjonerem i mam nadzieję, że jego praca nadal będzie kontynuowana - przekazał lider reprezentacji.

Bez apartamentu

Zawód muszą odczuwać też piłkarze z Kosowa, którzy mieli nadzieję na dostanie się na mundial po raz pierwszy w historii, po zaledwie 10 latach od przyjęcia federacji piłkarskiej tego kraju do FIFA. Piłkarze byli mocno zmotywowani. Jeden z deweloperów zapewnił ewentualnemu strzelcowi bramki na wagę wygranej z Turcją w finale barażu luksusowy apartament w miejscowości Prizren. Premier Albin Kurti obiecał piłkarzom milion euro premii. Z kolei kosowski kibice przeszkadzali tureckim zawodnikom w zaśnięciu w noc przed meczem, używając środków pirotechnicznych pod ich hotelem. Ostatecznie nie pomogło to w zwycięstwie. Nie ma ani apartamentu, ani premii, ani też awansu na mundial. Turcy wygrali 1:0.

Kacper Janoszka

UCZESTNICY MISTRZOSTW ŚWIATA 2026

Grupa A
■ Meksyk, Republika Południowej Afryki, Korea Południowa, Czechy

Grupa B
■ Kanada, Bośnia i Hercegowina, Katar, Szwajcaria

Grupa C
■ Brazylia, Maroko, Haiti, Szkocja

Grupa D
■ Stany Zjednoczone, Paragwaj, Australia, Turcja

Grupa E
■ Niemcy, Curaçao, Wybrzeże Kości Słoniowej, Ekwador

Grupa F
■ Holandia, Japonia, Szwecja, Tunezja

Grupa G
■ Belgia, Egipt, Iran, Nowa Zelandia

Grupa H
■ Hiszpania, Republika Zielonego Przylądka, Arabia Saudyjska, Urugwaj

Grupa I
■ Francja, Senegal, Irak, Norwegia

Grupa J
■ Argentyna, Algieria, Austria, Jordania

Grupa K
■ Portugalia, Demokratyczna Republika Konga, Uzbekistan, Kolumbia

Grupa L
■ Anglia, Chorwacja, Ghana, Panama

Awans po latach

W Kinszasie, Bagdadzie, a także innych miejscach DR Konga oraz Iraku narodowe święto! Piłkarskie reprezentacje z tych dwóch krajów po latach znowu są w elicie.

BARAŻE MŚ

Mecz Boliwia - Irak, który rozegrano w środę rano polskiego czasu był ostatnim, spotkaniem numer 899 w eliminacjach do XXIII mistrzostw świata! Aż tylu gier trzeba było, żeby wyłonić 48 finalistów zaczynającego się 11 czerwca amerykańskiego mundialu. Irakijczykom, z uwagi na wojnę na Bliskim Wschodzie, dotarcie na turniej barażowy do Meksyku zajęło bagatela, 21 dni! Czekali w Monterrey na wygranego z pary Boliwia - Surinam, w którym lepszy okazał się w czwartek przedstawiciel z Ameryki Południowej. W decydującej grze o awans swój udział mieli zawodnicy naszej ekstraklasy. Polski na MŚ nie będzie, będą za to piłkarze z naszej ligi. W decydującej grze z Boliwią trener Graham Arnold

desygnował zarówno Amira Al-Ammari z Cracovii, jak i Husseina Ali z Pogoni. Obaj rozegrali całe spotkanie, które Irak wygrał 2:1, a Al-Ammari zanotował asystę przy trafieniu na 1:0 Ali Al-Hamadi. Sam zresztą wcześniej mógł się wpisać na listę strzelców, ale po znakomicie wyegzekwowanym przez niego wolnym jeszcze lepszą interwencją popisał się mierzący 191 cm wzrostu Guillermo Viscarra. Asysta Al-Ammari to doskonałe dośrodkowanie z różnego.

- Nie mam słów żeby opisać jaką mam radość, że daliśmy szczęście 46 milionom Irakijczyków. Wielkie słowa uznania dla chłopaków, dla ich podejścia, mentalności i ducha walki, który cechuje tę nację. To ich wielki triumf - podkreśla Australijczyk Graham Arnold, który 4 lata temu reprezentację

ze swojego kraju wprowadził do 1/8 MŚ. Teraz notuje kolejny wielki sukces. Irak w mundialu zagra po raz drugi. Wcześniej było to 40 lat temu na drugich meksykańskich MŚ w 1986.

Jeszcze dłużej na awans do grona najlepszych czekała DR Konga, bo aż 52 lata! Na pamiętnych dla nas MŚ 1974 grała jeszcze pod szyldem Zairu i przegrała wtedy rekordowe 0:9 z Jugosławią. Rządzący wówczas krajem Mobutu Sese Seko zagroził, że w przypadku kolejnej takiej wpadki piłkarze nie mają co wracać do swoich rodzin... Teraz jest wielki sukces Lampartów, które jak Irak przebyły bardzo długą drogę. W decydującej grze z Jamajką też było bardzo trudno, bo Cedrickowi Bakambu i jego kolegom nie udawało się zaskoczyć świetnego mię-



Piłkarska reprezentacja Iraku, z przedstawicielami ekstraklasy, po 40 latach przerwy znowu w elicie.

dzy słupkami Reggie Boyz Andre Blaka. Udało się to dopiero w dogrywce Axelowi Tuanzebe z angielskiego Burnley po dobrze wykonanym rzucie.

- Przeszliśmy długą drogę, żeby zagrać w mundialu. W końcu nasze marzenia się spełniły. Teraz

czekamy już na turniej w Ameryce - podsumował wszystko szczęśliwy bramkarz Kongijczyków Lionel Mpsi. Na ławce rezerwowych całe spotkanie przesiadzał Steve Kapuadi z Widzewa.

(zich)

FINALY INTERKONTYNENTALNYCH BARAŻY

■ Guadalajara, DR Konga - Jamajka 1:0 (0:0, 0:0) po dogrywce
1:0 - Tuenzebe (100)
Monterrey, Irak - Boliwia 2:1 (1:1)
1:0 - Al-Hamadi (10), 1:1 - Paniaqua (38), 2:1 - Hussein (53)
Awans DR Konga i Iraku.

Wylot za ocean

Mundial w Argentynie był pierwszym poza Europą, na którym był też przedstawiciel „Sportu”.

Argentyna o zorganizowanie mistrzostw świata starała się od lat 50. ubiegłego wieku. Najpierw przegrała z Chile (1962), potem Meksykiem (1970). W końcu na kongresie FIFA w Londynie w lipcu 1966 roku zdecydowano, że to ona gościć będzie najlepszych piłkarzy podczas XI Pucharu Świata.

Po mistrzostwo świata

Koszty organizacji były niebagatelne. 700 mln dolarów kosztowało wybudowanie trzech nowych stadionów. Do tego 100 mln wydano na budowę pięciu nowoczesnych centrów prasowych, poprawę systemu komunikacji i transport. To już era telewizji, która wymusiła coraz większe zmiany i stawiała nowe wymagania. Do tego był koszt polityczny. Na dwa lata przed rozpoczęciem MŚ w Argentynie doszło do przewrotu. Władzę przejęło wojsko. Mistrzowski turniej postanowiono wykorzystać do zaprezentowania pozytywnego wizerunku kraju (w latach 1976-82 zginęło szacunkowo ok 13 tys. osób). Chciano też zmienić charakterystyczne logo turnieju – symbolizowało ono dwie wyciągnięte ręce nie żyjącego już prezydenta Juana Perona. Było już jednak za późno na zmiany, brand imprezy był już w obiegu i FIFA nie zgodziła się na żądania oraz monity argentyńskich wojskowych. Zostało tak, jak było zaprojektowane wcześniej.

To był turniej, na który Biało-czerwoni jechali po mistrzostwo świata! Tak zapowiadał selekcjoner Jacek Gmoch. Miał podstawy, żeby wygłaszać tak odważną deklarację. W składzie same tuzy, dodatkowo Włodzimierz Lubański, którego zabrakło cztery lata wcze-



U siebie Albiceleste wywalczyli pierwsze ze swoich trzech mistrzostw świata.

ściej na niemieckich boiskach z powodu kontuzji, a także młodzi, utalentowani i gniwni, jak Zbigniew Boniek i Adam Nawalka. Obaj okazali się zresztą odkryciami argentyńskich mistrzostw.

Ze „Sportu” do „France Football”

Bardzo solidnie do turnieju przygotował się i „Sport”. Po raz pierwszy w historii na turniej odbywający się na innym kontynencie polecił jego przedstawiciel, był nim doświadczony Janusz Jeleń, niewiele czasu później naczelny katowickiego dziennika, odsunięty potem w czasie stanu wojennego. Redaktor Jeleń był na MŚ 1974, miał już spore doświadczenie i pozycję w dziennikarskim światku, o czym mowa była w poprzedniej opowieści. Jeleń, rocznik 1931, był absolwentem znanego liceum w Sosnowcu im. Bolesława Prusa. W „Sporcie” pracował przez lata, będąc jego podporą. Jak mówi o nim nasz wieloletni pracownik Wojciech Filipiak, był konkretny, rzeczowy, skrupulatny. Miał też świetne pomysły. Inny ze znanych dziennikarzy, wieloletni współpracownik „France Football”, pracu-

jący w „Sporcie” Czesław Ludwiczek tak opowiadał o początkach swojej kariery we francuskim piśmie. - Ówczesny naczelny „Sportu” wpadł na pomysł, aby zadzwonić do „France Football” i przeprowadzić wywiad z naczelnym redaktorem. I to zadanie powierzył mnie, bo tylko ja znałem francuski. Rozmowa udała się znakomicie, a wywiad z Jacques'em Ferranem ukazał się na pierwszej stronie „Sportu”. W ten sposób zawarłem z n a j o m o ś ć z pismem, co trzy lata później przełożyło się na stałą z nim współpracę. Pisywałem co tydzień krótkie korespondencje o naszej lidze, o przygotowaniach do ME i MŚ i rzadziej krótkie wywiady.

Propaganda sukcesu

Janusz Jeleń sam polecał do Argentyny, co samo w sobie było już wielką reporterstką przegoda, wyzwaniem. Zresztą, relacje stamtąd znajdują się też w świetnej książce, którą napisał z innym naczelnym „Sportu” Andrzejem Koniecznym „Pół wieku piłkarskich MŚ” (wydanie 1981).

Gazeta też pieczołowicie przygotowała się do imprezy. Były to czasy sekretarza PZPR Edwarda Gierka. Propaganda sukcesu była na tapecie. Polska – zdaniem komunistycznych cacyków – była 10. gospodarką świata. Wszystko to było jednak ułudą, w dużej mierze za zachodnie pożyczki. W 1976

wprowadzono do konstytucji zapis o trwałej przyjaźni i współpracy ze Związkiem Sowieckim... W kraju dystrybuowano już kartki na cukier, a za dwa lata będzie jeszcze gorzej. Komuna się sypała.



Logo wspaniałych argentyńskich mistrzostw nawiązywało do gestu odsuniętego od władzy prezydenta Juana Perona. Fot. wikipedia

Zwiększona objętość gazety

Zostawmy jednak politykę i skupmy się na futbolu i XI mistrzostwach świata. Ich premiera miała miejsce z reprezentacją Polski w głównej roli. To przecież mecz Biało-czerwonych z RFN, czyli mistrzem świata z 1974, inaugurował turniej. Odbył się 1 czerwca 1978 na stadionie River Plate w Buenos Aires. „Nie zmarnujemy tej szansy” pisał „Sport”, wspominając, że spotkanie obejrzy miliard ludzi! Inauguracyjny mecz rozczarował o tyle, że emocji było w nim niewiele i zakończył się bezbramkowym remisem. Nikt nie chciał się otworzyć. Zresztą podział punktów z mistrzem świata, przed kolejnymi grami w grupie 2 z niższymi notowanymi Tunezją i Meksykiem przyjęto za dobrą monetę.

Na czas MŚ w Argentynie „Sport” zwiększył objętość

KOESPONDENCI „SPORTU” NA MŚ

1950, Brazylia: -
1954, Szwajcaria: Tadeusz Bagier
1958, Szwecja: Tadeusz Maliszewski vel Narcyz Suessermann
1962, Chile: -
1966, Anglia: dr Jerzy Roha
1970, Meksyk: -
1974, RFN: Janusz Jeleń, Zbigniew Łagódka, Jerzy Roha, Józef Bula, Andrzej Konieczny
1978, Argentyna: Janusz Jeleń



z 4 do 6 kolumn. Czytać było co! Oprócz korespondencji redaktora Jelenia były stałe rubryki, jak choćby „Bohater dnia”. Szybko trafił tam Mario Kempes, jak się potem okazało najlepszy piłkarz i król strzelców turnieju z 6 zdobytymi bramkami. Przypomniano, że czarował już jako 19-latek podczas tournée Albiceleste po Starym Kontynencie w 1973 roku. Zagrał na MŚ 1974, miał oferty z Europy, ale jako młody chłopak – rocznik 1954 – pozostał jeszcze w kraju, występując w Rosario Central. W marcu 1976 zagrał na Stadionie Śląskim. Potem trafił do hiszpańskiej Valenci, żeby być gwiazdą mundialu w swoim kraju, choć... wszystko mogło się – jak to w futbolu – potoczyć zupełnie inaczej. O co chodzi?

Centymetry od mistrzostwa

W finale XI MŚ Argentyna grała z Holandią. U Oranje nie było Johana Cruyffa – przed mistrzostwami grożono mu i jego rodzinie... porwaniem! Mimo braku swojej gwiazdy drużyna prowadzona przez słynnego i legendarnego austriackiego szkoleniowca Ernsta Happela szła jak burza. Na środku obrony Ruud Krol, w pomocy świetni bracia bliźniacy z PSV Rene i Willy van de Kerkhof, a w ataku doświadczony, bo 30-letni Rob Rensenbrink. W mało przekonujących grach grupowych z Iranem (3:1) i Szkocją (2:3) zdobył aż 4 bramki, w tym ustrzelił hat-tricka z reprezentantem Azji (trzy z tych trafień to celnie wyegzekwowane jedenastki). Z Peru było bez bramki. Do czołowej ósemki Holendrzy weszli z ledwie trzema oczkami, przegrywając walkę o prymat z rewelacyjnym przedstawicielem z Ameryki Południowej. Potem ekipa trenera Happela, od jego imienia nosi nazwę stadion w Wiedniu, rozkłębiła Austrię 5:1, kolejny gol z karnego Rensenbrinka, zremisowała z RFN 2:2 i pokonała 2:1 Italię, żeby zagrać w meczu o złoto z gospodarzami.

Przy stanie 1:1 już w doliczonych minutach napast-

nik Oranje otrzymał długie podanie z głębi pola i z okolic 5 metra trafił w słupek. Parę centymetrów dzieliło Holendrów od mistrzostwa, a ówczesnego napastnika belgijskiego Anderlechtu od tytułu króla strzelców (skończył turniej z 5 trafieniami). W dogrywce szalę na swoją korzyść przechylił Albiceleste i Mario Kempes. Długowłosego napastnika strzelił w dogrywce swojego szóstego gola, wywalczył tytuł króla strzelców i dał Argentynie pierwsze z trzech mistrzostw świata.

Gigantyczny turniej

„Pięciokilogramowy Puchar Świata” wykonany przez włoskiego artystę Silvio Gazanigę, ze szczerego złota najwyższej próby trafił w godne ręce: Campeone Mundial 1978 Argentina – taki napis ukazał się na olbrzymiej tablicy świetlnej stadionu River Plate w Buenos Aires, gdy włoski sędzia Sergio Gonella po raz ostatni w tym gigantycznym turnieju użył gwiazdka – pisał na 1 stronie w „Sporcie” w poniedziałek 26 czerwca 1978 roku Janusz Jeleń.

My? Potknęliśmy się w grupie ćwierćfinałowej z zespołami z Ameryki Południowej, przegrywając z gospodarzami 0:2 – po pięknej grze, jak teraz w Sztokholmie... – a także z Brazylią 1:3. Wygrana z Peru 1:0 dała trzecie miejsce w grupie i 5-6 miejsce na koniec z RFN. Teraz o takich wynikach możemy tylko pomarzyć...

Michał Zichlars



Bohater dnia, bohater turnieju w Argentynie - Mario Kempes.



Na XI MŚ jechaliśmy po... złoto!

Z piłkarza na... modela!

Niecodzienne wcielenie gwiazdy Górnika Lukasa Ambrosa. Młodzieżowy reprezentant Czech reklamuje odzieżowe wyroby firmy z Wrocławia!

GÓRNIK ZABRZE

Oumiejętnościach „Ambro” nikogo nie trzeba przekonywać! To jedna z czołowych postaci walczącego o miejsce w europejskich pucharach zespołu z Zabrze.

Robi karierę

Po kłopotach z kontuzją na początku roku doszedł już do siebie i znowu zaczyna odgrywać w talii trenera Michala Gasparika czołową rolę. Znalazł się nawet na liście rezerwowych nowego selekcjonera reprezentacji Czech, Miroslava Koubka, na barażu o MŚ z Irlandią i Danią. Ostatecznie pojechał do „swojej” reprezentacji młodzieżowej. Zagrał 86 minut w eliminacyjnym spotkaniu ze Szkocją, które zakończyło się remisem 0:0, oraz godzinę we wtorek w Chomutowie z Gibraltarem. Drużyna U-21 naszych południowych sąsiadów wygrała 5:0 i jest na 2. miejscu w grupie B za Portugalią.

Lukas Ambros jest już na miejscu w Zabrzu i z kolegami przygotowuje się do ligowego spotkania z Cracovią, które odbędzie się w sobotę po południu na Stadionie im. Ernesta Pohla.

Latem miną dwa lata, odkąd 21-latek jest w Pol-

sce. Trafił do Górnika z VfL Wolfsburg, gdzie zadebiutował nawet w Bundeslidze, ale potem trafił do rezerw. Z górniczym klubem ma podpisany długi kontrakt, bo aż do czerwca 2029 roku, a w klubie mogą z tego tytułu tylko zacieierać ręce. Już zaczęły się spekulacje, że jest na celowniku kilku zagranicznych zespołów. Będąc w dobrej dyspozycji i w kręgu pierwszej reprezentacji Czech, która właśnie co zakwalifikowała się po 20 latach do MŚ, już w najbliższym okienku transferowym może zmienić klub.

Dziewczyna z Wrocławia

Na razie „Ambro” jest w Zabrzu i dobrze się u nas czuje. Jeszcze rok temu, kiedy się z nim rozmawiało, to wołał mówić po angielsku. Jesienią było już inaczej. Szybko zaczął mówić po polsku, i to mówić naprawdę dobrze! Pytany wtedy przez nas, skąd taka szybkość i nagła zmiana, odpowiadał: – Pomogła mi w tym w dużej mierze dziewczyna, bo znalazłem ją w Polsce, we Wrocławiu. Mówię po polsku i jakoś tak spokojnie wychodzi – śmiał się wtedy.

Dziewczyną Lukasa Ambrosa jest Maja Szuba. W stolicy Dolnego Śląska prowadzi firmę odzieżową „Maja Szuba Enterprise

Wrocław”. Z danych dostępnych w internecie wynika, że zajmuje się handlem hurtowym i detalicznym wyrobów tekstylnych. Na głównej stronie shubawear.com można znaleźć zdjęcie, na którym, reklamując dzinsy baggy, jest właśnie Lukas Ambros! Reklamuje nie tylko spodnie, ale i bluzy, szykowne koszulki polo i inny asortyment swojej przedsiębiorczej dziewczyny. Kto wie czy taki modeling nie będzie drugim wcieleniem młodzieżowego reprezentanta Czech i pomocnika Górnika? Wyrabia sobie markę nie tylko... na zielonym boisku, co widać na zdjęciach.

Tata promotorem

Dodajmy, że jego dziewczyna Maja Szuba, to córka Bartosza, znanego promotora MMA i K1, prezesa FEN i PRIME, która organizuje freak fighty. Jedną z twarzy kampanii reklamującej wyroby jego córki został Arkadiusz Mańcula. Aktor - „Supernova”, „Lombard”, „Życie pod zastaw”, „Fighter” - tworzący muzykę, prowadzący podcasty, ale też zawodnik MMA. Za nim już sporo walk. Bił się w takich organizacjach, jak FAME oraz PRIME. W świecie sportów walki występuje pod pseudonimem Aroy. I podobnie jak Lukas Ambros pomaga Mai Szubie.

Michał Zichlarz

ZNANE FUTBOLOWE MARKI

■ Piłkarze modelami? To nie specjalnego. Szczególnie ci znani są rozrywani przez największe marki. Numer 1 to ikona stylu, czyli David Beckham, ze swoją żoną Victorią stworzyli prawdziwe biznesowe imperium. Czego były reprezentant Anglii nie reklamował? Odzież, samochody, zegarki, ma też własne perfumy. Kolejny przykład to reprezentant Niemiec i zawodnik Bayernu, Serge Gnabry. Trzy lata temu dostał się pod ostrzał krytyki, kiedy między meczami uczestniczył w pokazie Paris Fashion Week jako model. Inni? Mistrz i wicemistrz świata, król strzelców ostatnich MŚ, Kylian Mbappe, jest ambasadorem Nike. Reklamuje też takie marki jak Dior, Oakley czy Hublot. Nie można nie wspomnieć legendarnego już CR7 i jego underwear. Ceny bokserów słynnego Cristiano Ronaldo z jego brandem kosztują od 50 do 100 euro za sztukę. Nasze podwórko, to były piłkarz m.in. GKS Jastrzębie, Mariusz Adaszek. W ekstraklasie ma 2 występy w Odrze Wodzisław w 2004 roku. „Model z wieloletnim doświadczeniem komercyjnym w sesjach i reklamach tv. Współpraca z takimi firmami jak: @mazedapolska, @empik_polska, @toyota” – można przeczytać na jego Instagramie. W naszej ekstraklasie aktywny na polu biznesowym i też modelingu jest niemiecki piłkarz beniaminka z Niemieczy Morgan Fassbender. Piliśmy o nim w zeszłym roku. To podobny przykład do Lukasa Ambrosa. Z żoną Luisą prowadzą perfumeryjną firmę pod nazwą „twentysecondofmay perfumes and colognes”. - Sprzedajemy perfumy on-line, mamy też je w sklepach. Mogę powiedzieć, że taka druga pasja poza piłkarskim boiskiem – tłumaczył nam Fassbender.

(zich)

Lukas Ambros stał się twarzą kampanii reklamowej „Maja Szuba Enterprise Wrocław”.



Pomocnik Górnika Zabrze reklamuje spodnie, bluzy, koszulki.



Pomaga w prowadzeniu biznesu swojej dziewczynie.



Serge Gnabry podczas Paris Fashion Week...



Lukas Ambros i jego ukochana z Wrocławia Maja Szuba.



Sebastian Milewski stracił partnera z linii pomocy.

Kowalczyk odpoczywa

Przed GKS-em mecz z Wisłą Płock, który może napędzić Katowiczan przed półfinałem Pucharu Polski.

GKS KATOWICE

Przed przerwą reprezentacyjną GKS Katowice przegrał dwa mecze. Najpierw został pokonany przez Jagiellonię Białystok (1:2), a następnie Cracovię (0:1). Tym samym została przerwana dobra seria piłkarzy Rafała Góraka, którzy wcześniej wygrali trzy mecze w lidze: z Górnikiem (3:1), Radomiakiem (1:0) i Lechią Gdańsk (2:0). W międzyczasie też zwyciężyli Widzew Łódź po rzutach karnych w ćwierćfinale Pucharu Polski. Teraz więc Katowiczanie muszą powrócić na odpowiednie tory, żeby mocno wejść w ostatni etap sezonu, a przy okazji, żeby dostać się do finału Pucharu Polski.

Solidny rywal

Zanim jednak półfinałowe starcie z Rakowem, GieKSę czeka spotkanie z Wisłą w lidze. W najbliższą sobotę to właśnie ekipy z Katowic i Płocka rozpoczną 27. kolejkę o godzinie 12.15, grając przy Nowej Bukowej. Nafciarze – w odróżnieniu od GKS-u – zakończyli zmagania przed przerwą reprezentacyjną dwoma wygranymi z... Cracovią (2:1) i Jagiellonią (2:1). Tym samym po słabszym okresie znaleźli się na piątym miejscu, mając tyle samo punktów co czwarty Górnik Zabrze. Od europejskich pucharów dzieli ich niewiele, ale czy ostatnie

mecze były pokazem tego, że kryzys w Płocku został zażegnany? – O to trzeba byłoby zapytać trenera Wisły. Ten sezon jest specyficzny. Można mieć serię zwycięstw, a zaraz później serię porażek. Zawodnicy Wisły poradzili sobie z trudniejszym momentem. My natomiast jesteśmy na 10. miejscu i tracimy do nich tylko trzy punkty. To wiele mówi o tym, jak wygląda tabela – powiedział trener GKS-u Rafał Górak. – Wisła to solidny zespół. Długo była liderem i zdajemy sobie sprawę z tego, jak jest ułożona i jak wiele ma atutów – opisał rywala szkoleniowiec GieKSy.

Czuć odpowiedzialność

Dwie ostatnie porażki GKS-u miały miejsce w meczach wyjazdowych. Teraz górnośląski zespół wraca na swój obiekt i ma zamiar wygrać. – Na tym stadionie czujemy odpowiedzialność, żeby jak najlepiej zaprezentować się przed naszymi kibicami. I mimo tego, że ostatnie dwa mecze nie przyniosły nam punktów, jestem zadowolony z gry. W sobotę prosimy o doping, zaangażowanie na trybunach, żeby świąteczny nastrój nam pomógł – przekazał trener Górak.

W rozmowie ze „Sportem” po meczu z Cracovią Arkadiusz Jędrzych powiedział, że mecz z Wisłą będzie bardzo ważny nie tylko ze względu

na punkty w lidze, ale także z tego powodu, że zwycięstwo może napędzić Katowiczan przed meczem z Rakowem w Pucharze Polski. – Sztuką jest koncentrowanie się na tym, co najbliższe. Chyba nawet kosztem świąt będziemy myśleć o meczu w Częstochowie. Na razie jednak koncentrujemy się na starciu z Wisłą – powiedział Rafał Górak.

Zmiana w pomocy

Szkoleniowiec GKS-u będzie miał pewien problem w obu nadchodzących meczach, ponieważ kontuzji doznał Mateusz Kowalczyk. – Naderwał mięsień dwugłowy. Przerwa będzie trwała dwa-trzy tygodnie – przekazał opiekun zespołu. To sprawia, że podstawowy środkowy pomocnik w najbliższy weekend dopiero trzeci raz w tym sezonie nie wyjdzie na boisko. W 2026 roku był pierwszoplanową postacią drużyny, grał w każdym spotkaniu w pierwszym składzie. Obok niego w środku pola grał zazwyczaj Sebastian Milewski. Teraz zapewne będzie on tworzył duet z Damianem Rasakiem, dla którego mecz z Wisłą może być drugim w wyjściowej jedenastce GKS-u (po raz pierwszy znalazł się w pierwszym składzie w przegranym meczu z Cracovią, zastępując Milewskiego, który pauzował za kartki).

Kacper Janoszka

Niekończący się dramat

Bartosz Talar po raz trzeci zerwał więzadło krzyżowe w tym samym kolanie. Jeszcze nie wiadomo, czy będzie miał kolejny zabieg.

WISŁA KRAKÓW

Pomocnik jest najlepszym przykładem na poparcie słów: aby coś osiągnąć w sporcie, poza talentem trzeba mieć przede wszystkim zdrowie. I szczęście.

Czerwony kolor

Bartosz Talar jest w Wisłę od niemal czterech lat. Przyszedł do klubu po spadku, nie miał być jednak od razu jedną z nowych pierwszoplanowych postaci. Miał być melodią przyszłości, Jerzy Brzęczek po tygodniach testów uznał, że przy tak niewielkich kosztach warto dać mu szansę. Wychowanek Dunajca Nowy Sącz wrócił do kraju po trzech latach szkolenia w Olympique Lyon, gdzie grał w juniorach i rezerwach. Od 12 sierpnia 2022 roku wystąpił w zaledwie 25 meczach pierwszej drużyny (1 gol, 5 asyst). Kiedy popatrzy się na jego profil w serwisie Transfermarkt, to dominuje w nim czerwień, a to oznacza, że zawodnik nie grał. W przypadku Talara przerwy były spowodowane poważnymi kontuzjami. Pierwszy raz zerwał więzadła krzyżowe przednie (ACL) w kolanie lutym 2024, w czasie treningu tuż przed startem rundy wiosennej. Po operacji i rehabilitacji wrócił do gry w rezerwach po ponad 13 miesiącach.

Dwa razy trening, raz mecz

Trzecioliigowe rozgrywki miały być trampoliną, która po przerwie miała go ponownie doprowadzić do pierwszej drużyny, ale ostatni mecz zaliczył dla niej 17 grudnia 2023 roku. Na początku trzeciego spotkania w rezerwach w 2025 dramat się powtórzył. Węzadło w prawym kolanie znów nie wytrzymało, żmudny proces trzeba było zacząć od nowa. Talar walczył z rywalem o piłkę, udało mu się wyjść przed niego i wtedy nienaturalnie wykręcił kolano. Kiedy 21 marca w Opolu zawodnicy Wisły pozwolili do zdjęcia z koszulką Talara, stało się jasne, że znów przytrafiło mu się coś złego.

Okazało się, że trzeci raz dokładnie to samo, a drugi bez kontaktu z przeciwnikiem. W czasie treningu rezerw wybijał piłkę i znów poczuł ból. Jak jednak w rozmowie z „Gazetą Krakowską” po sparingu z Podhalem Nowy Targ przyznał trener Mariusz Jop, tym razem kolano wyglądało dobrze i nie dawało oznak bólowych, choć więzadło było uszkodzone. Wrócił do treningu biegowego i za jakiś czas ma podjąć decyzję, czy kolejny raz oddać się w ręce lekarzy. Przy tego typu urazach kluczowe jest wzmacnianie mięśni zapewniających stabilność kolana i Talar w ostatnich latach bardzo się na tym skupiał. Czasem zawodnicy nie decydowali się na kolejną rekonstrukcję więzadeł i byli w stanie grać w piłkę bez zabiegu.

Możliwe konsekwencje

Czterokrotne zerwanie ACL w tym samym kolanie zastopowało karierę napastnika Michała Jonczyka

(m.in. Górnik Zabrze i Widzew Łódź). Nie pomógł mu nawet przeszczep więzadła od dawcy i w wieku 22 lat musiał zrezygnować z zawodowej gry w piłkę. Odnalazł się jako doradca finansowy, pomaga m.in. zawodowym sportowcom. Do dziś nie gra nawet amatorsko, czasem tylko kopie z synem. Podkreśla, że skoro kolano już „strzeliło” cztery razy, to nie chce już ponownie mieć tych „wrażeń”. – Trzymam kciuki za Bartka. Wierzę, że los się odwróci i więzadła wytrzymają. Mi jednak bardzo dużo dała rozmowa z lekarzem po trzecim zerwaniu. Powiedział, że muszę myśleć 20-25 lat do przodu. O konsekwencjach operacji, m.in. wierceniu, w przyszłości: możliwych bólach, endoprotezie. Mentalność sportowca nakazuje walczyć o powrót do gry, ale trzeba pamiętać, że przede wszystkim jesteśmy ludźmi i po zakończeniu kariery mamy przed sobą znacznie dłuższe życie – podkreśla.

Michał Knura



W 2022 roku Bartosz Talar rozegrał pięć meczów w reprezentacji do lat 20.

Zostały cztery miejsca

Machineseeker EHF
Champions League znalazła się na etapie, na którym po prostu nie można już popełnić błędów. W czwartek walkę o ćwierćfinał rozpoczynają mistrz i wicemistrz Polski.

LIGA MISTRZÓW

Każde spotkanie będzie miało stawkę, każda bramka ogromne znaczenie. Wiadomo już, że dwaj liderzy fazy grupowej - Fuechse Berlin (gr. A) i Barcelona (gr. B) oraz wicemistrzowie Aalborg HB (gr. A) i SC Magdeburg (gr. B) - zakwalifikowali się bezpośrednio do ćwierćfinału. Ze spokojem czekają więc na rozstrzygnięcia meczów 1/8 finału, które wyłonią dla nich przeciwników. O pozostałe cztery miejsca w 1/4 finału powalczą po dwa zespoły z Francji, Węgier i Polski oraz po jednym z Danii i Portugalii.

Miała dla nas wiadomość przed meczami 1/8 finału jest taka, że EHF na mecz tygodnia 1. rundy play offu wyznaczyła spotkanie w Lizbonie, gdzie Spor-

ting podejmie Orlen Wisłę Płock. Nafciarze jeszcze nigdy nie osiągnęli tak dobrej pozycji w fazie grupowej Ligi Mistrzów. Warto przypomnieć, że już po 12. serii spotkań zapewnili sobie 3. miejsce, tuż za plecami Barcy i Magdeburga, co oznaczało prawo gry w 1/8 finału. W 14 kolejnych Płocczanie wywalczyli 18 punktów (8 zwycięstw, 2 remisy, 4 porażki), a ich bilans bramkowy wyniósł 424:410. W czołówce zespołów grupy B Wisła była od 1. kolejki, po 2. i 4. serii zajmowała nawet 2. miejsce, a od 5. plasowała się na 3. miejscu. Jedyny udział Płocka w ćwierćfinale miał miejsce w sezonie 2022/23, kiedy przegrał z późniejszym zwycięzcą, Magdeburgiem. Jego dzisiejsi rywale fazę grupową zakończyli na 6. miejscu w tabeli grupy A, zdobywa-



Daniel Dujszebajew (z lewej) wraca do gry, a to świetna wiadomość dla Kielczan.

jąc 14 punktów. Mistrzowie Polski z mistrzami Portugalii zmierzili się w poprzednim sezonie w fazie grupowej. W Lizbonie wygrali gospodarze 34:29, a w rewanżu padł remis 29:29, który dał Sportingowi awans do ćwierćfinału. Zwycięzca tego dwumeczu w 1/4 finału spotka się z Aalborgiem.

Przeciwnicy kieleckich wicemistrzów Polski, OTP

Bank-PICK Szeged, do ćwierćfinału Ligi Mistrzów awansowali sześć razy, ale nigdy nie dotarli do Final Four. W pięciu ostatnich kolejkach fazy grupowej węgierski zespół zdobył tylko „oczko”, remisując przed trzema tygodniami w... Płocku z Orlen Wisłą 30:30. Wyjście z grupy miał już jednak zapewnione wcześniej, a do 6. miejsca wy-

starczyło mu 11 punktów. Industria Kielce wygrała sześć ostatnich meczów pierwszej fazy i zakończyła ją na 3. pozycji w tabeli grupy A z dorobkiem 17 punktów (8 zwycięstw, 1 remis, 5 porażek) i bilansem bramkowym 456:451. Dodajmy, że dekadę temu Kielczanie triumfowali w Lidze Mistrzów, a w organizowanym w Kolonii półfinale

uczestniczyli sześciokrotnie. W zeszłym sezonie z tymi elitarnymi rozgrywkami pożegnali się już na etapie 1/8 finału, a lepsze od nich okazały się berlińskie Lisy (33:27 w Kielcach, 37:37 w Berlinie). Na lepszego z pary OTP Bank-PICK - Industria w ćwierćfinale czeka już broniąca tytułu ekipa z Magdeburga.

Zbigniew Cieńciała

Fot. Tomasz Fajara/PressFocus

ORLEN WISŁA PŁOCK

Jeden z najambitniejszych projektów w Europie

Przed wylotem do Lizbony trener Xavier Sabate nie był zbyt wylewny; nie chciał zdradzać planów taktycznych na konfrontację ze Sportingiem, ani wskazywać mocne strony przeciwników, bo jest ich wiele. - Rozpoczynamy walkę o ćwierćfinał Ligi Mistrzów. W tym sezonie mamy duże ambicje, chcemy dotrzeć jak najdalej i w tym celu musimy rozegrać dwa dobre mecze. Na tym etapie wszystkie drużyny prezentują wysoki poziom - rzucił tylko Hiszpan, jakby bojąc się zapeszyć, że mistrzowie Polski celują w swój pierwszy Final Four. Wielce wymowny jest natomiast fakt, że pracujący od ośmiu lat w Płocku Sabate przedłu-

żył niedawno kontrakt do 2030 roku, a tuż po złożeniu podpisu powiedział. - Uważam, że odkąd tutaj przyszedłem, to klub się bardzo rozwinął. Dzieje się tak z sezonu na sezon i jest efektem systematycznej pracy wielu osób. Klub zna mnie, a ja znam klub i zawodników. Nasz projekt jest jednym z najbardziej ambitnych w Europie.

Z kolei trener Sportingu, Ricardo Costa, przyznał, że jego podopiecznych czeka wyjątkowo trudna przeprawa. - Będziemy musieli zmierzyć się z bardzo silnym zespołem. Zespołem, który zajął 3. miejsce w swojej grupie, wyprzedzając na przykład PSG, a to wiele mówi o jego sile. Wiemy, jakie są oczekiwa-

nia wobec Wisły. Wiemy, czego chce jej trener, i jaką pracę wykonał, aby ją zbudować. Tylko od nas zależy, aby wyjść na boisko i pokazać, czego chcemy. Napotkamy ostatnio na wiele trudności, ale znamy też cechy naszego zespołu i jestem pewien, że podobnie zadaniu stworzenia kolejnej, wielkiej, europejskiej nocy w Lizbonie. Nasi kibice, którzy byli niezłomni, zasługują na kolejny moment radości - uśmiechnął się Costa, a czołowymi postaciami portugalskiego zespołu są... synowie, Martin i Francisco. Dla rodzinnego tercetu może to być ostatni sezon w Lizbonie. Mówi się, że latem przeniosą się do niemieckiego Flensburga.

INDUSTRIA KIELCE

Walka o fundament przed rewanżem

Patrząc na ostatnie wyniki, faworytami węgiersko-polskiej rywalizacji są wicemistrzowie naszego kraju, niemniej trener Taant Dujszebajew stanowczo buntuje się przed takim stawianiem sprawy. - Może w dwumeczu tak, ale na Węgrzech o dobry wynik będzie bardzo trudno. Tam czeka nas dopiero pierwsza odłona rywalizacji. W czwartek musimy uzyskać możliwie najlepszy wynik. Najważniejsze, żebyśmy po 120 minutach byli lepsi przynajmniej o jedną bramkę - podkreślił szkoleniowiec Kielczan. - W starciu tak utytułowanych drużyn trudno o wielkie niespodzianki taktyczne. Postawimy na rzetelność i realizację sprawdzonych schematów. Kluczem do sukcesu będzie koncentracja przez pełne 120 minut dwumeczu i powstrzymanie liderów węg-

gierskiej ekipy, takich jak: Lazar Kukić, Janus Smarason, Bence Banhidi czy Imanol Garcandia oraz możliwie najczęstsze pokonywanie bramkarzy, Rolanda Miklera i Tobiasa Thulina. To oni trzymają rytm gry zespołu i stanowią największe zagrożenie dla rywali. Jeśli chodzi o sytuację kadrową, to do rytmu meczowego wraca Daniel Dujszebajew. Młodszy syn trenera Industarii znalazł się w kadrze na spotkanie w Szeged. Na Węgrzech zabraknie natomiast drugiego z jego synów - Alex, lider, kapitan i prawy rozgrywający w dalszym ciągu przechodzi rehabilitację po kontuzji mięśnia dwugłowego. Trener Industarii podkreślił, że nie będzie panikował i czeka na „zielone światło” od sztabu medycznego, przypominając jednocześnie, jak długo trwał powrót do formy Szymo-

na Sićki. - Najważniejsze, żeby ludzie byli zdrowi. To nie jest tak, że jak ktoś wraca do treningu, to od razu staje się maszyną - wspominał trener Dujszebajew. Węgrzy również doceniają klasę polskiego zespołu, ale do rywalizacji podchodzą se sporym optymizmem, zwłaszcza do pierwszego meczu. - Industria to fantastyczny zespół, lecz naszym celem jest awans do ćwierćfinału. Nie będzie to łatwe, ponieważ każda drużyna reprezentuje bardzo wysoki poziom. Musimy wygrać u siebie, przed naszymi niesamowitymi kibicami. To może dać nam fundament, którego potrzebujemy na rewanż w Kielcach, aby zapewnić sobie miejsce w kolejnej fazie Ligi Mistrzów - powiedział lewy rozgrywający węgierskiej drużyny, Richard Bodo.



Fot. FIBA.com

Turczynki, które w marcu wywalczyły przepustki na mistrzostwa świata, będą faworytkami grupy I.

Nadzieję mają wszyscy

Koniec klątwy EuroBasketu? Optymizm w kadrze po losowaniu „grupy nadziei”.

ELIMINACJE EUROBASKETU

Czy Polska po raz pierwszy od 2015 roku awansuje do turnieju finałowego EuroBasketu? Po udanym pierwszym etapie kwalifikacji optymizmu nie brakuje. Wtorkowe losowanie grup drugiego etapu również nie przekreśliło naszych szans. Zagramy z Turcją, Izraelem i Czarnogórą. Dwa najlepsze zespoły wywalczą awans.

Znamy już szczegółowy terminarz. Polki zaczną od wyjazdowego meczu z Izraelem (11 listopada), a trzy dni później wystąpią w Podgoricy, stolicy Czarnogóry. Na koniec niezwykle intensywnego, listopadowego okienka czeka je mecz z Turczynkami u siebie (17 listopada). W lutym okienku natomiast zagramy u siebie z Izraelem (10 lutego) oraz Czarnogórą (13 lutego), a eliminacje zakończą wyjazdowym starciem w Turcji (16 lutego).

Trener naszej drużyny wydaje się zadowolony. - Na chwilę obecną są to rywale, z którymi rywalizacja jak najbardziej daje nadzieję na

awans. Ostatnie eliminacje pokazały, że jesteśmy mocni. To zespoły z pierwszego i drugiego koszyka dzisiaj bardziej się martwią tym, że nas wylosowały, niż my tym, że wylosowaliśmy ich. Chcemy podtrzymać dobrą passę w kwalifikacjach, wygrywać mecze i zdobyć awans na upragniony EuroBasket - zapowiada Karol Kowalewski.

W Turcji o losowaniu mówi się na razie nie za dużo. Środowisko koszykarskie żyje czwartkowym, pierwszym starciem finału Pucharu Europy, w którym przeciwnikiem greckiego Athinaikosu jest CBK Mersin. Trenerem Pomarańczowo-czarnych jest Ekrem Memnun, jednocześnie szkoleniowcem zespołu narodowego. W Turcji wciąż żywy jest sukces sprzed dwóch tygodni - awans do turnieju finałowego mistrzostw świata w Berlinie.

W kwestii losowania EuroBasketu kibiców rozgrzewa natomiast obecność w grupie reprezentacji Izraela. Większość grup kibicowskich w Turcji (szczególnie fani Wielkiej Trójki: Galatasaray, Fenerbahçe, Beşiktaş) aktyw-

nie angażują się w manifestowanie poparcia dla Palestyny. Część radykalnych środowisk otwarcie domaga się, by tureckie kluby i reprezentacja odmawiały gry z izraelskimi rywalami w ramach protestu moralnego. Po losowaniu te głosy odżyły, choć do bojkotu raczej nie dojdzie. Na razie nie jest jasne, gdzie Izrael będzie rozgrywać swoje mecze domowe - ostatnio kadra ta podejmowała rywali w Rydze. Dla polskich kibiców stolica Łotwy byłaby zresztą wymarzoną kierunkiem wyjazdowym.

Shira Haelyon, trenerka Izraela, na oficjalnej stronie federacji zapowiada, że jej zespół „chce udowodnić swoją wartość i uczciwie wywalczyć miejsce wśród szesnastu najlepszych drużyn Europy”. Izraelki stawiają na jedność i szybkość, licząc na to, że ich naturalizowane liderki zrobią różnicę w kluczowych momentach. - To wymagające i ciekawe losowanie. Nasi grupowi rywale to wysokiej jakości zespoły z tradycjami, co jest naturalne na etapie drugiej rundy eliminacji. Każda z reprezenta-

cji posiada naturalizowaną zawodniczkę na bardzo wysokim poziomie oraz utalentowane koszykarki grające w Eurolidze - mówi Haelyon. Federacja Izraela z dumą przypomina również o perfekcyjnym bilansie 6-0 w pierwszej rundzie kwalifikacji.

Nadzieję na awans są duże także w Czarnogórze. Trenerką tamtejszej kadry jest Jelena Škerović, która na co dzień prowadzi Polonię Warszawa i polską ligę zna doskonale. - Turcja i Polska są faworytami, ale Izrael to również zespół, przeciwko któremu gra się trudno. Skupiamy się jednak przede wszystkim na kontynuowaniu dobrych występów z marcowych meczów i dalszym rozwoju naszych młodych zawodniczek - przyznaje Škerović. - Jeśli chodzi o Polskę, została wylosowana z trzeciego koszyka, ale trzeba pamiętać, że w poprzednich eliminacjach pokonała mistrzynię Europy, Belgijkę, na ich terenie. Polska ma silny, zgrany zespół, a jej liga jest bardzo wysokiej jakości, ma jeden klub w Eurolidze i trzy w EuroCup - dodaje.

(pp)

Koncert Luki Doncicia

Wydarzenia wtorku: czwarta wygrana z rządu Los Angeles Lakers oraz kryzys New York Knicks.

NBA

Houston Rockets od pierwszych minut zdominowali New York Knicks, wygrywając wyraźnie we wtorkowy wieczór. Gospodarze już na starcie wypracowali potężną przewagę (37:21 w pierwszej kwarcie), której nie oddali do końcowej syreny. Cały wyjściowy skład Houston zagrał niezwykle solidnie, a każdy z starterów zanotował minimum 13 „oczek”. Liderem ekipy był Kevin Durant, który rzucił 27 punktów, a Alperen Şengün dodał double double (13 punktów i 10 asyst). Mimo roli rezerwowego, świetne zawody rozegrał również Reed Sheppard, który wniósł z ławki 20 punktów i 5 zbiórek. Dla Knicks to trzecia z rzędu porażka po wcześniejszej serii siedmiu zwycięstw. Niepokoić może styl - każdy z tych trzech przegranych meczów kończył się co najmniej dziesięciopunktową stratą. Jeremy Sochan wszedł na boisko dopiero w ostatniej fazie spotkania, gdy wynik był przesądzony. Polak dostał od trenera ledwie minutę i 47 sekund. W tym czasie zdobył 2 punkty, trafił 1 z 2 rzutów z gry.

Wiedzie się natomiast Lakersom, którzy pokonali Cleveland i przedłużyli serię zwycięstw do czterech. Gospodarze przez większość czasu mieli mecz pod kontrolą - w połowie trzeciej kwarty prowadzili już 86:66, a przed wejściem w ostatnią odsłonę różnica wynosiła 27 punktów (110:83). Luka Dončić zdobył 42 punkty i zaliczył 12 asyst, trafił 13 z 26 rzutów z gry, notując swój 16. występ

z dorobkiem co najmniej 40 punktów w tym sezonie. Słoweniec wrócił do składu po tym, jak opuścił poniedziałkowe zwycięstwo nad Washington Wizards z powodu nadmiaru przewinień technicznych. Los Angeles osiągnęło barierę 50 zwycięstw w dwóch sezonach z rzędu po raz pierwszy od okresu 2007-2011, kiedy udawało mu się to cztery razy z rzędu. Dončić przyznał, że przedłużenie zwycięskiej passy Lakers znaczy dla niego więcej niż rekordy osobiste. - Jeśli nie wygrywasz, to tak naprawdę nic nie znaczy - powiedział Dončić dziennikarzom. - Więc ta seria, którą mamy, jest dla nas bardzo ważna. Musimy dalej grać w ten sposób.

LeBron James dołożył do dorobku zespołu 14 punktów, co wystarczało, by po raz kolejny zapisać się na kartach historii. 41-letni lider „Jeziorowców” odniósł swoje 1229. zwycięstwo w karierze (wliczając play-offy), detronizując dotychczasowego rekordzistę wszech czasów, Kareema Abdul-Jabbara. - LeBron gra fenomenalnie po obu stronach parkietu, robiąc dla nas dosłownie wszystko na najwyższym poziomie. Luka czy Austin Reaves mogą skradać nagłówki gazet, ale to LeBron jest liderem, który spaja całą tę grupę - komentował trener JJ Redick.

Orlando - Phoenix 115:111, Brooklyn - Charlotte 86:117, Milwaukee - Dallas 123:99, Detroit - Toronto 127:116, Houston - New York 111:94, LA Lakers - Cleveland 127:113, LA Clippers - Portland 104:114

(pp)

Faworytki nie zawiodły

ORLEN BASKET LIGA KOBIEC

Bez niespodzianek w pierwszych meczach półfinałowych. W Lublinie tylko po pierwszej kwarcie można było mieć wątpliwości, czy Akademicki poradzą sobie ze Słazą Wrocław. W trzeciej części przewaga gospodyń sięgała 22 oczek. Oba zespoły dzieliła przepaść pod tablicami, Lublinianki w zbórkach wygrały 49:30! Borkowska w pojedynkę zebrała aż 15 piłek.

Środkowa kadry była najlepszą zawodniczką spotkania. Z kolei Amerykanka Robbi Ryan zanotowała liczby zbliżone do triple double - 12 punktów, 8 zbiórek, 9 asyst. W zespole z Wrocławia zawiodła skuteczność - Mehryn Kraker spudłowała wszystkie 4 próby z gry, a Aleksandra Mielnicka trafiła tylko 2 z 9. W Lublinie aż 5 zawodniczek zdobyło dwucyfrową liczbę punktów. We Wrocławiu ciężar gry spoczywał głównie na Dignie Strautmane

(18 punktów) i Gmrice Davis (14 punktów).

Nie było wielkich emocji także w Arena Gorzów. Rozstawione z jedyneką po sezonie zasadniczym gospodynie już w połowie miały 24 punkty przewagi (52:28). Bardzo dobrze grały rezerwowe AZS-u, a przede wszystkim Ashley Owusu i Charisma Osborne. Pod tablicami panowała z kolei kadrowiczka Weronika Telenga (14 zbiórek).

Dzisiaj kolejne mecze w obu parach. Gra toczy się do trzech wygranych

■ Lotto AZS UMCS Lublin - 1 KS Słęża Wrocław 85:69 (19:16, 24:14, 20:25, 22:14) stan rywalizacji: 1-0 (do 3 wygranych)
LUBLIN: Williams 5 (1x3), Borkowska 15 (1x3), Ryan 12 (1x3), Gatling 16, Wnorowska 16 (4x3) - Wojtala 2, Stanković 11, Ullmann 8 (2x3), Pogorzelska, Kaczmarek. Trener Karol KOWALEWSKI.
WROCLAW: Davis 14, Kraker 3, Strautmane 18 (4x3), Fiszler 8 (1x3), Mielnicka 5 - Ziemborska, Vihmane 9 (3x3), Kulińska 7 (1x3), Jasik, Jeziora 5 (1x3). Trener Arkadiusz RUSIN.

■ KSSSE Enea AJP Gorzów Wielkopolski - Enea AZS Politechnika Poznań 72:61 (28:16, 24:12, 12:16, 8:17) stan rywalizacji: 1-0 (do 3 wygranych)
GORZÓW WLKP.: Szymkiewicz 10, Gertchen 11 (3x3), Telenga 4, Hurt 12, Stasiak 3 (1x3) - Owusu 15 (1x3), Osborne 9 (2x3), Kloska 8 (2x3), Steblecka, Lebiecka. Trener Dariusz MACIEJEWSKI.
POZNAŃ: Carter 8, Pszczolarska 5, Brown 8, Popović 10 (2x3), Piasecka 10 (2x3) - Kośla, Hank 14, Puzio 2, Rutkowska 2, Haegenbarth 2. Trener Wojciech SZAWARSKI.

(pp)

W pierwszych półfinałowych meczach play offu dominacja Lublina i Gorzowa.

Wzięli jak swoje

Miały być wielkie emocje, a skończyło się wielkim laniem. Warszawianie w Lublinie dokończyli dzieła i są w gronie czterech najlepszych drużyn w Europie!

LIGA MISTRZÓW

P przed rozpoczęciem „polskiego” ćwierćfinału na papierze więcej atutów mieli mistrzowie Polski z Lublina. Wygrali bardzo pewnie oba spotkania z PGE Projekt w PlusLidze, prezentowali też równiejszą formę. Nawet po pierwszym meczu w Warszawie - gospodarze wygrali 3:1 - szanse Lublinian były wyżej oceniane. Przede wszystkim grali przed własną publicznością, co miało ich ponieść do triumfu w „złotym” secie.

Rzeczywistość mocno się rozjechała z przedmeczowymi prognoząmi. Warszawianie zagraли znakomicie. By awansować do

Final Four musieli wygrać dwa sety i sprawę załatwić w godzinę. Ich przewaga była ogromna. Wytrącili gospodarzom wszystkie argumenty.

Po pierwszych piłkach wydawało się jednak, że kibiców czekają wielkie emocje. Za sprawą potężnych zagrywek Wilfredo Leona Bogdanka LUK prowadziła 7:4. Przyjezdni szybko się jednak otrząsnęli i zaczęli dominować. Warszawianie świetnie czytali grę rywali, raz za razem stawiając skuteczny blok. Nie mogli go sforsować ani Mateusz Malinowski, ani Leon. Na wyższy poziom wskoczyli też Kevin Tillie i przede wszystkim Bartosz Bednorz. Ten drugi nie tylko „czyścił” wszystkie problemy w ataku, ale nie dał się

złamać w przyjęciu zagrywki i jeszcze dokładał w serwisie. Po jego asie i kontrze Bartosza Gomułki PGE Projekt wygrywał 17:13. I nie wypuścił szansy z rąk.

Kolejny set przyniósł rozstrzygnięcie rywalizacji. Lublinianie nie mieli pomysłu na zatrzymanie rozpędzonych rywali. Byli dla nich tłem. Gaśli z każdą nieskończoną akcją. Z marazmu nie potrafił ich wydobyc nawet Leon. Reprezentant Polski w pojedynkę potrafi rozstrzygać spotkania, seryjnie zdobywając punkty z zagrywki. Tym razem mu nie szło. Zwykle trafiał w siatkę. A gdy już piłka przeszła na drugą stronę siatki, przyjmujący PGE Projektu wywiązywali się ze swoich obowiąz-

ków. Warszawianie drugą partię wygrali jeszcze pewniej i po raz pierwszy w historii awansowali do Final Four Ligi Mistrzów.

Od trzeciej odsłony na parkiecie oglądaliśmy rezerwowych. Lublinianie wygrali trzy kolejne partie, ale dla nich to było marne pocieszenie. Jedynym pozytywem dla Stephana Antigi, trenera Bogdanki LUK, była możliwość sprawdzenia Kewina Sasaka i Mikołaja Sawickiego. **(mic)**

■ Bogdanka LUK Lublin – PGE Projekt Warszawa 3:2 (21:25, 18:25, 25:22, 32:30, 15:12)

■ LUBLIN: Komenda (1), Henno (6), McCarthy (12), Malinowski (6), Leon (8), Grodzanow (3), Czyrek (libero) oraz Gyimah (5), Sawicki (6), Wachnik (4), Young (13), Hoss (libero), Prokopczuk (1), Sasak (14). Trener Stephane ANTIGA.

■ WARSZAWA: Firlej (2), Bednorz (11), Semenik (3), Gomułka (7), Tillie (8), Kochanowski (4), Wojtaszek (libero) oraz Kłos (5), Olenderek (libero), Kopers (13), Firszt (9), Weber (10), Ko-

złowski, Strulak (7). Trener Kamil NALEPKA.

Sędziowali: Igor Porvaznik (Słowacja) i Michailo Medwid (Ukraina). Widzów 4190.

Przebieg meczu

I: 9:10, 13:15, 15:20, 21:25.

II: 8:10, 11:15, 14:20, 18:25.

III: 10:9, 15:12, 20:16, 25:22.

IV: 10:6, 15:11, 18:20, 24:25, 30:29, 32:30.

V: 5:4, 10:8, 15:12.

Bohater – Kewin SASAK.

Pierwszy mecz 1:3. Awans PGE Projektu.

Sprostowały zadaniu

Bielszczanki czwarty raz z rzędu zagrają w półfinale mistrzostw Polski.

Czy tym razem przejdą tę fazę?

TAURON LIGA

BKS Bostik ZGO Bielsko-Biała to jeden z najbardziej utytułowanych klubów w żeńskiej siatkówce w naszym kraju. Zdobył 19 medali mistrzostw Polski, w tym osiem z najcenniejszego, złotego kruszcu. Od ostatniego mistrzostwa minęło już jednak sporo czasu, bo 16 lat; wtedy też po raz ostatni wystąpił w finale. Jest też ośmiokrotnym zdobywcą Pucharu Polski i trzykrotnym Superpucharu.

Od kilku lat biański klub stara się wrócić na szczyt. Regularnie awansuje do półfinału play offu. W bieżącym sezonie też znalazł się w czołowej czwórce. W ćwierćfinale w dwóch spotkaniach wyeliminował wicemistrza Polski, ŁKS Commercecon Łódź, wygrywając 3:1 we własnej hali i 3:0 na wyjeździe. - Bardzo wierzę w mój zespół i pracę, którą wykonujemy na treningach. Niestety, w tym roku przykro było patrzeć, bo nie potrafiliśmy przemieścić tego, co pokazywaliśmy na treningach, na parkiet, szczególnie w ważnych meczach. Cieszę się, że z ŁKS-em w końcu udało się - stwierdził Bartłomiej Piekarczyk, trener BKS-u Bostik ZGO. - Udało, to złe słowo, bo to były wypracowane schematy, które wykonujemy coraz lepiej

- dodał.

Szkoleniowiec ekipy z Bielska-Białej zdaje sobie sprawę, że jego drużyna w trakcie fazy zasadniczej nie zawsze stawiała na wysokości zadania.

- Oczywiście, że chcielibyśmy grać piękną siatkówkę przez cały sezon, ale co roku składy mocno się zmieniają i czasami potrzeba więcej czasu, cierpliwości, by w końcu zespół zaczął lepiej funkcjonować. Byliśmy bardzo cierpliwi i w nagrodę zagramy o medale - cieszył się Piekarczyk.

- W tym sezonie miałyśmy wiele wzniośleń i upadków, ale w najważniejszym momencie sprostaliśmy zadaniu i jesteśmy w najlepszej czwórce w Polsce - wtórowała swojemu trenerowi Adriana Adamek, libero BKS-u.

Ogromnym problemem biańskiej drużyny była kontuzja Wiktorii Szewczyk. To kluczowa zawodniczka, bo rozgrywała w najważniejszych meczach. Wierzyliśmy, że jej talent się rozwinie - stwierdził Piekarczyk.

Na zasadzie transferu medycznego klub ściągnął Giulie Gennari. To był strzał w dziesiątkę. Doświadczono-

na Włoszka odmieniła grę BKS-u. Nie tylko dokładnie rozgrywa, ale też zdobywa sporo punktów. Świetnie zagrywa i doskonale czyta grę, co pozwala jej ustawić skuteczny blok. W starciu z ŁKS-em wywalczyła siedem punktów, popisując się m.in. czterema punktowymi blokami. Piekarczyk chwali ją też za charyzmę. - Bardzo lubię jej grę i styl. W kluczowych momentach uspokaja grę. Jest naszym cichym liderem, trochę z tyłu, który potrafi „użyć” odpowiednie osoby w odpowiednim momencie - scharakteryzował swoją podopieczną Piekarczyk. W półfinale BKS zmierzy się z obrońcą tytułu i głównym faworytem rozgrywek DevelopResem Rzeszów. W Bielsku-Białej zdają sobie sprawę z klasy rywala, ale nie zamierzają się poddać bez walki. - Wszystko może się wydarzyć. Przygotujemy się najlepiej jak tylko się da do tej rywalizacji - zapewniła Adamek.

- Będziemy walczyć. DevelopRes to potężny zespół, na papierze zdecydowanie lepszy od nas. Wierzymy, że skończymy sezon z medalem. Zobaczymy w jakim kolorze, ale będziemy cieszyć się z każdego - dodał szkoleniowiec biańskiego zespołu. Pierwszy mecz w Rzeszowie w piątek (godz. 17.30) **(mic)**



Warszawianie w Lublinie „zatopili” mistrza Polski.

CZTERY PYTANIA DO...

JURIIA GLADYRA
środkowego Aluronu CMC Warty Zawiercie

Ogień na zagrywce

1 Przed wami arcyważne spotkanie z Cucine Lube Civitanova, którego stawką jest gra w Final Four Ligi Mistrzów. W pierwszym starciu we Włoszech wygraliście 3:0, wszyscy więc oczekują od was awansu...

- I jeśli ktoś myśli, że pokonując na wyjeździe Cucine Lube przed własną publicznością powtórzymy ten wynik to się myli. To jest zespół, który naprawdę ma ogień na zagrywce. To będzie bardzo trudny mecz. Fakt - mamy zaliczkę, ale niewiele to jeszcze znaczy w kontekście całej rywalizacji. Rywale mogą przyjechać do nas i zagrać dobre spotkanie. W pierwszym starciu po prostu wykonaliśmy swoją robotę, poczynając od serwisu, ustawiając bardzo dobry, szczelny i podwójny blok. Zrealizowaliśmy założenie. Drugi mecz może być jednak zupełnie inny, bo rywale

mogli coś podpatrzeć czy odmienić.

2 Włosi słyną z mocnego serwisu, ale choć grali we własnej hali, którą znają doskonale, popełnili aż 22 błędy. Zaskoczyło was to?

- Było widać, że kompletnie nie siedzieli im zagrywka, a przecież potrafili bardzo mocno „kopnąć” zza linii 9. metra. Myślę, że to się już nie powtórzy.

3 Co będzie kluczowe w czwartej rywalizacji?

- Przede wszystkim nie możemy zapraszać rywali do gry, jak to miało miejsce w trzecim secie we Włoszech. To młody zespół, który może poczuć krew i docisnąć, co też zrobił w końcówce trzeciej partii. Wtedy wytrzymał presję. Chłopaki bardzo dobrze poradzi sobie w przyjęciu, odbie-

rając bardzo trudne zagrywki. Na całe szczęście domknęliśmy ten mecz. Nikt nie był pewny i nie wie, co by się mogło stać, gdybyśmy przegrali tego seta. Nie myślimy o tym, bo wygraliśmy tę odsłonę i cieszymy się z tak pięknej zaliczki.

4 W weekend przegraliście z ZAKSĄ Kędzierzyn-Koźle pierwsze spotkanie ćwierćfinałowe. To wasza pierwsza porażka w PlusLidze od 3 stycznia. Taki zimny prysznic przyda się przed startem w Lidze Mistrzów?

- To nie żaden zimny prysznic, ale po prostu play off. W nim nie liczy się, że ktoś wygrał rundę zasadniczą. To nowe rozdanie i musimy być w pełni skupieni. A ZAKSA zagrała bardzo dobre spotkanie, kapitalnie zagrywała. Tak, to było dobre przetarcie przed Cucine Lube. **(mic)**

Fińskie supertrio

Katowiczanie nie mieli za wiele argumentów, by myśleć o wygranej z obrońcami tytułu mistrzowskiego.



Fot. PAP/Art Service

Tyszanie udanie rozpoczęli finałową serię.

TAURON HOKEJ LIGA

Ramsus Heljanko i jego kompani, Hannu Kuru i Joel Kerkkänen, sprawili, że GKS Tychy rozmontował GKS Katowice i wygrał pierwsze spotkanie finałowej serii. Było ono emocjonujące i pełne dramatów, ale tak zapewne będzie do końca rywalizacji. Gospodarze nie mieli za wiele argumentów, by myśleć o wygranej.

GKS Katowice – GKS Tychy 2:4 (1:1, 0:2, 1:1)

Stan rywalizacji 0-1

0:1 - Bizacki - Łyszczarczyk - Paś (9:51), 1:1 - Wronka - Dupuy - Lundegard (17:07), 1:2 - Heljanko - Kuru - Kerkkänen (27:28), 1:3 - Kerkkänen - Kuru - Heljanko (32:43), 1:4 - Heljanko - Kerkkänen - Kuru (48:55, w podwójnej przewadze), 2:4 - Bepierszcz - Hundanpää - Verveda (56:16). Sędziowali: Michał Baca i Paweł Kosidło - Piotr Kot o Michał Żak. Widzów 1435.

KATOWICE: Eliasson; Lundegard - Runesson, Verveda (2) - Macias, Hoffman - Chodor; Jonasz Hofman - Pasiut - Fraszko, Wronka - Anderson - Dupuy, Jakub Hofman - McNulty (5+20) - Coatta, Bepierszcz - Dawid - Michalski, Koivusaari (2), Hundanpää. Trener Jacek PŁACHTA.

TYCHY: Fučík; Pocięcha - Kovar, Kakkonen - Kaskinen, Bryk - Viinikainen (2), Bizacki; Heljanko - Kuru - Kerkkänen, Knuutinen - Paś - Łyszczarczyk, Jamsen - Komorski (2) - Viitanen, Jeziorski - Aliranta - Gościński. Trener Pekka TIRKKONEN.

Kary: Katowice - 29 (w tym kara meczu dla McNulty'ego) min, Tychy - 4 min.

Do składu Katowiczanie wrócił Jean Dupuy, niewątpliwie ważna postać nie tylko w ofensywie, bo również nie unika stracić przy bandach, a ten element w tym finale, wedle wielu fachowców, będzie odgrywał ważną rolę. W formacjach defensywnych zabrakło Alkesi Virtanena i podopieczni trenera Jacka Płachty byli zmuszeni grać na trzy pary obrońców. To na pewno był pewien dyskomfort, bo rywałe, zgodnie z założeniami

w tym sezonie, mieli do dyspozycji 7 defensorów oraz pełny skład napastników.

Jedni i drudzy od pierwszego gwizdka nie zamierzali się oszczędzać, jednak ton wydarzeniom na taflach nadawali goście i oni stworzyli kilka groźnych sytuacji. Mateusz Gościński, Alan Łyszczarczyk i Kuru próbowali zaskoczyć Jesepera Eliassona, ale bezskutecznie. W 10 min Dominik Paś wyprowadził krążek z własnej tercji i podał do „Łyżki”, a ten skierował „gumę” w stronę bramki, gdzie panował tłok. Krążek odbił się od Olafa Bizackiego i tysi defensor, dość nieoczekiwanie, wpisał się na listę strzelców. Gospodarze byli trochę przytłoczeni tą stratą, jednak powoli odzyskiwali wigor i zaczęli coraz lepiej prezentować się na lodzie. Na początku 18 min do remisu doprowadził Patryk Wronka, który uderzeniem po lodzie zaskoczył Tomaśa Fučíka. Dobrze, szybkie tempo akcji i nie mogliśmy nie nudzić podczas pierwszej odsłony.

A druga przyniosła jeszcze więcej akcji i znów dwa gole. Początek należał do gospodarzy i w 27 min tysi bramkarz może mówić o sporym szczęściu, bo Stephen Anderson, dobrze prezentujący się w tym sezonie, trafił w poprzeczkę. Po tym sygnale ostrzegawczymi do pracy zabrali się Tyszanie i ich dobrze funkcjonująca maszyna zupełnie zdominowała taflę. Były długie fragmenty, w których gospodarze nie potrafili wyjechać za połowę lodowiska. Goście cały czas grali pressingiem i co rusz odbierali krążek rywalom, a gdy tylko nadarzyła się okazja, oddawali strzały z dalszej i bliższej odległości. W 28 min goście zdobyli efektownego gola. Heljanko otrzymał krążek do Kuru i zdecydował się na uderzenie. Przed bramkarzem GieKSy przejeżdżał Kerkkänen i „guma” wpadła do siatki. Tyszanie cały czas parli do przodu i w efekcie sprytnie zachował się Kerkkänen i ubiegł Eliassona. Dwa gole przewagi to kom-

26

STRZAŁÓW

oddali goście na bramkę Eliassona, zaś gospodarze zrewanżowali się 20.

38

SEKUND

gry w podwójnej przewadze (kary McNulty'ego i Vervedy) potrzebowali goście, by zdobyć gola na 4:1.

fortowa sytuacja, ale trzeba być czujnym. Z końcową syreną Lauri Hundanpää posłał krążek między parkanami bramkarza i wpadł on do siatki. Sędziowie zdecydowali się na analizę zegara i tego gola nie uznali.

W ostatniej tercji goście nie spuszczali z tonu. W 45 min Olaf Bizacki wyprowadził krążek z własnej tercji i na środku lodowiska został ostro zaatakowany przez Iana McNulty'ego. Tyszanin padł jak ścięte drzewo, zaś sędziowie analizowali całą sytuację. Kanadyjczyk został odesłany do szatni, bo to był atak na głowę.

Potem trener Płachta zdecydował się na pokierowe zagranie, bo trzy razy przywoływał Eliassona do boksu. Gospodarze z furią atakowali, ale Tyszanie bronili się dzielnie i mocno wspomagali Fučíka, który jednak skapitulował po uderzeniu Mateusza Bepierszcza. Cały mecz by niezwykle emocjonujący, ale Katowiczanie należą się słowa uznania za heroiczny bój w ostatnich 8 minutach. Nie przyniósł im efektów, ale chyba ich trochę wzmocnił przed dzisiejszym rewanżem.

TAURON HOKEJ LIGA

Czwartek, 2 kwietnia
03. miejsce
SOSNOWIEC, 18.00: ECB Zagłębie - Unia Oświęcim 3:2*

Finał
KATOWICE, 20.30: GKS - GKS Tychy **
* - wynik pierwszego meczu o brąz
** - relacja telewizyjna w TVP Sport

Pękły kolejne setki

NHL

Carolina Hurricanes, liderzy Dywizji Metropolitalnej i współliderzy Konferencji Wschodniej, po raz piąty w historii klubu osiągnęli 100 pkt. Rod Brind'Amour ma ogromną satysfakcję, bowiem brał udział we wszystkich tych pięciu wydarzeniach - w czterech jako trener (2021-24 i w tym sezonie) i raz jako zawodnik (2005/06). Wyjazdowe zwycięstwo nad Columbus Blue Jackets 5:2 (2:0, 0:1, 3:1) pozwoliło Huraganom osiągnąć ten dorobek i nadal mieć nadzieję, że zbliżą się do lidera, Colorado, choć mają osiem „oczek” straty. Formacje specjalne sprawiły, że goście wygrali, bo wykorzystali trzy z pięciu liczebnych przewag, zaś gospodarze mieli trzy takie okazje, ale nie potrafili udokumentować ich bramką. Zaczęło się pomyślnie dla przyjezdnych, bo w 1. tercji Shayne Gostisbeher (14) i Logan Stankoven (17) w przewadze pokonali Jeta Greavesa (26 obron). Prowadzenie 2:0 to żadne prowadzenie, bo gospodarze doprowadzili do remisu po uderzeniach Kiritta Marckenki (36) i Adama Fantilego (43). Jednak zespół Caroliny nie panikował, a jeden z najbardziej doświadczonych, Nikołaj Ehlers, zdobył gola (53) na 3:2. 30-letni Duńczyk latem przeniósł się z Winnipeg do Caroliny, ale nic nie stracił na wartości. Ehlers podawał przy trafieniach Gostisbehera oraz Andreja Swiecznikowa (54). Wynik tej potyczki ustalił Jordan Martinook, który na 47 sek. przed końcową syreną podczas gry w osłabieniu postawił krążek do pustej bramki. Teraz z czwartku na piątek (czasu polskiego) dojdzie do rewanżu w Raleigh. Takim samym dorobkiem 100 punktów pochwalić się mogą Szable z Buffalo, które na własnym lodzie pokonały NY Islanders 4:3 (1:0, 0:1, 3:2). Tym samym zespół ten powtórzył wyczyn z sezonu 2009/10 i prowadzi w Dywizji Atlantycznej oraz jest współliderem na Wschodzie. Zwycięskiego gola zdobył 25-letni Kanadyjczyk Peyton Krebs w 57 min. Wyspiarze przegrali drugi mecz z rzędu i ciągle muszą walczyć o miejsce w play offie.

Columbus - Carolina 2:5, Buffalo - NY Islanders 4:3, Pittsburgh - Detroit 5:1, Boston - Dallas 6:3, Tampa Bay - Montreal 1:4, NY Rangers - New Jersey 4:1, Washington - Philadelphia 6:4, Chicago - Winnipeg 3:4 po dogrywce, Edmonton - Seattle 3:0

(s)

(ws)

SPÓD BANDY

WAŁĘGA OD PIERWSZEGO DNIA

■ Kamil Wałęga, nasz reprezentacyjny środkowy, pojawi się od pierwszego dnia (7 kwietnia) na zgrupowaniu kadry w Bytomiu i na pewno weźmie udział w wyjazdowym dwumeczu z Litwą. Wychowanek JKH GKS-u Jastrzębie, w tym sezonie ligowym szybko zakończył sezon w ekstraklidze słowackiej. Zespół Vlci Žylina, gdzie gra na co dzień nasz napastnik, przegrał serię już 1. rundzie play offu z Preszowem 2-4 i zakończył sezon. W tej sytuacji Wałęga będzie mógł się zameldować na zgrupowaniu kadry.

KIEŁBICKI W TYCHACH

■ Szymon Kiełbicki, środkowy drugiej formacji jastrzębskiego zespołu, to takomy „kąsek” na rynku transferowym. Za nim nie tylko udany sezon klubowy, ale również reprezentacyjny i stąd wychowanek KTH Krynica budził spore zainteresowanie najsilniejszych klubów. Kiełbicki przebiegał w ofertach, ale ostatecznie zdecydował się na propozycję GKS-u Tychy. Wprawdzie klub jeszcze nie poinformował o tym fakcie, ale informacja jaką posiadamy pochodzi z wiarygodnego źródła.

GDZIE ZAGRA „ZIGI”?

■ Gra Pawła Zygmunta, naszego skrzydłowego w HC Litwinów powoli dobiega końca. Teraz uczestniczy w barażach o utrzymanie się czechosłowackiej ekstraklidze, po ich zakończeniu pojawi się w kraju, by rozpocząć przygotowania do turnieju mistrzostw świata. Po sezonie „Zigi” zamierza powrócić do kraju i zasilić jeden z czołowych klubów THL. Gorączkowe rozmowy się toczą, ale sam zainteresowany twierdzi, że decyzja zapadnie dopiero po MŚ w Sosnowcu.

Hiszpan już prawie

Według L'Equipe nowym trenerem Igi Świątek będzie Francisco Roig.

Francuski dziennik sportowy przekonuje, że Hiszpan zakończył współpracę z francuskim tenisistą Giovannim Mpetshim Perricardem, aby zostać trenerem Igi Świątek. Szkoleniowiec, który w środę kończy 58 lat, był m.in. w sztabie swojego rodaka Rafaela Nadala przez większość jego kariery.

Z Mpetshim Perricardem Roig pracował tylko około miesiąca, wcześniej

współpracował z Brytyjką Emmą Raducanu i Włochem Matteo Berrettinim. Z Nadalem związany był w latach 2005-22.

- Kiedy zaczęliśmy razem pracować, byłem dzieckiem i dopiero dołączałem do cyklu (ATP), wspólnie z moim wujkiem Tonim. Francis to świetny trener, który bardzo dobrze zna się na tenisie i pomagał mi stawiać się coraz lepszym. Czuję dla niego tylko wdzięczność i życzę mu szczęścia w jego kolejnych projektach



W zatrudnieniu Francisco Roiga (pierwszy z prawej) palce prawdopodobnie maczał sam Rafael Nadal (drugi z lewej).

- powiedział na zakończenie współpracy Nadal, zwycięzca 22 imprez wielkoszlemowych, którego Świątek jest fanką.

W rozmowie ze sport.pl sześciokrotna mistrzyni wielkoszlemowa przyznała, że konsultowała się ostatnio z „Rafą”. - Jest bardzo otwarty. Jest świetnym człowiekiem. Sam fakt, że mam

jego numer i mogę się z nim skontaktować, to dla mnie wielki zaszczyt. Ale szczerze mówiąc to, czy mi pomagał, czy nie, chciałabym zachować między nami, bo on jest częścią tej historii. Nie chciałabym stawiać go w niezręcznej pozycji - stwierdziła Raszyńska.

Była lidera światowego rankingu bez trenera po-

zostaje od 23 marca, kiedy poinformowała o zakończeniu współpracy z Belgiem Wimem Fissette'em. Było to kilka dni po tym, jak była liderka światowego rankingu przegrała z Magdą Linette w drugiej rundzie turnieju WTA 1000 w Miami i spadła na 4. miejsce w rankingu.

(t, PAP)

Argentyńczyk wziął rewanż

Rok temu w kwalifikacjach do turnieju ATP 250 na kortach ziemnych w Marrakeszu Kamil Majchrzak pokonał Marco Trungellitiego 6:4, 6:3 i dotarł później aż do półfinału. W środę Argentyńczyk wziął rewanż na marokańskiej ziemi i wygrał z rozstawionym z „piątką” Polakiem w drugiej rundzie 7:6 (7-4), 6:3.

30-letni Majchrzak w rankingu zajmuje najwyższe w karierze 53. miejsce, a sześć lat starszy Trungelliti jest 117. Teraz 36-latek awansował już o 17 miejsc - na 100. pozycję w rankingu Live i w poniedziałek może zostać najstarszym tenisistą, który po raz pierwszy wdarł się do Top 100 w ostatnim półwieczu.

Szybka porażka w obecnej edycji oznacza,

KAWA W ĆWIERĆFINALE

■ Katarzyna Kawa pokonała rozstawioną z numerem czwartym Niemkę Tatjanę Marię 6:3, 6:3 i awansowała do ćwierćfinału turnieju WTA 250 na kortach ziemnych w Bogocie. Zajmująca 132. miejsce w rankingu Polka potrzebowała 74 minut, aby pokonać notowaną na 60. pozycji Niemkę. Jej kolejną rywalką będzie rozstawiona z numerem osiem Węgierka Panna Udvardy (92. WTA). Polka grała z nią trzykrotnie, odnosząc komplet zwycięstw. Rok temu w Kolumbii Kawa dotarła do finału, w którym przegrała z reprezentantką gospodarzy Camilą Osorio 3:6, 3:6.

że Piotrkowianin nie obronił zdobytych wówczas punktów i czeka go spadek w rankingu. „Wirtualnie” plasuje się obecnie na 59. pozycji.

W deblu lepiej

Częściowo niepowodzenie Majchrzaka powetowało sobie w środę w deblu - w parze z Karolem Drzewieckim po zaciętym meczu wyeliminowali Pe-

ruwiańczyka Ignacio Buse i Hiszpana Inigo Cervantesa 7:6 (7-5), 7:6 (7-5). W drugim secie Polacy przegrywali już 0:4, ale doprowadzili do tie-breaka, w którym okazali się lepsi. W ćwierćfinale spotkają się z reprezentantem USA Vasilem Kirkovem i Holendrem Bartem Stevensem, którzy we wtorek pokonali Jana Zielińskiego i Brytyjczyka Luke'a Johnsona.

Kamil Majchrzak i Magdalena Fręch nie powojowali w singlu w turniejach w Marrakeszu i w Charleston.

Sporą niespodziankę sprawili w Marrakeszu grający z dziką kartą Filip Pieczonka i Marokańczyk Younes Lalami Laarousi, którzy pokonali rozstawionych z numerem 1 Monakijczyka Hugo Nysa i Francuza Edouarda Rogera-Vasselina 7:5, 6:3.

Złaza ją partnerka

Rozstawiona z numerem 11. Magdalena Fręch przegrała z Węgierką Anną Bondar 5:7, 3:6 w drugiej rundzie turnieju WTA 500 na kortach ziemnych w Charleston. W pierwszej Polka miała wolny los.

Obie tenisistki środy po pojedynku rozpoczęły dość niepewnie i w efekcie każdy z pierwszych czterech gemów kończył się przełamaniami. Później

to Bondar zaczęła częściej wykorzystywać swoje podanie. Wprawdzie dała się Polce jeszcze dwukrotnie przełamać, ale sama wykorzystała jeszcze cztery break-pointy.

Był to drugi pojedynek tych zawodniczek i drugie zwycięstwo Bondar. Wcześniej w Karlsruhe w 2021 roku - Węgierka wygrała 6:3, 6:3.

Fręch startuje w Karolinie Południowej także w deblu, w parze z... Bondar. W pierwszej rundzie pokonały kanadyjsko-francuską parę Leylah Fernandez, Kristina Mladenovic 7:6 (7-2), 2:6, 11-9, a w nocy polskiego czasu walczyły o półfinał z rozstawionymi z numerem drugim Amerykanką Nicole Melichar-Martinez i Rosjanką Aleksandrą Panową. (t)

Ważny krok sztafety

LEKKA ATLETYKA

Za miesiąc w Gaborone, stolicy Botswany, rozegrany zostanie festiwal sztafet World Athletics Relays. Jedną z rozgrywanych na tych zawodach konkurencji będzie bieg rozstawny 4x100 metrów, w układzie mieszanym. To wydarzenie, które obecnie jest mocno promowane przez światową federację lekkoatletyczną.

Nie bez przyczyny - w 2028 roku sztafeta mieszana 4x100 metrów zadebiutuje w programie zawodów lekkoatletycznych na igrzyskach olimpijskich w Los Angeles. W tym roku konkurencja znajduje się w programie mistrzostw świata do lat 20, mistrzostw Europy oraz supermistrzostw Ultimate Championship w Budapeszcie.

Aby jednak wystartować w tych ostatnich zawodach,

a także przyszłorocznych mistrzostwach świata w Pekinie, należy przejść sito kwalifikacji, których jednym z etapów będzie festiwal w Botswanie. Na początek przed naszą drużyną stało wyzwanie zakwalifikowania się na to afrykańskie wydarzenie. W środę w Lublinie - w trudnych deszczowo-chłodnych warunkach - zorganizowano w związku z tym zawody 4x100 MIX Challenge, w których oprócz re-

prezentacji Polski wystartowali też sprinterki i sprinterzy z Ukrainy oraz klubowy zespół AZS UMCS Lublin. W pierwszym biegu Biało-czerwoni w składzie: Oliwer Wdowik, Magdalena Niemczyk, Dominik Kopeć, Magdalena Stefanowicz uzyskali czas 41,62 sek. - najlepszy wynik w Europie w tym sezonie. Ten rezultat daje reprezentacji Polski obecnie 14. miejsce w rankingu Road To Gaboro-

ne, czyli de facto niemal pewną kwalifikację na imprezę w Botswanie. W najbliższych dniach o wynik dający kwalifikację na World Athletics Relays powalczą też inne reprezentacje, m.in. Amerykanie (obecnie plasujący się w czwartej dziesiątce sztafet); awans uzyskają 23 najszybsze oraz gospodarze. Ranking zamknie się 5 kwietnia, a impreza w Botswanie odbędzie się 2-3 maja. (t)

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

CZWARTEK, 2 MARCA

TVP 1

20.10 Wiadomości sportowe

TVP 3

16.20, 19.00, 21.52 Przegląd wydażeń regionalnych; 19.25 Pn: Betclic 2. Liga, Sandecja Nowy Sącz - Resovia (na żywo)

POLSAT

19.30 Wiadomości sportowe

TVN

19.35 Wiadomości sportowe

TVP SPORT

20.25 Hokej: Tauron Hokej Liga, finał GKS Katowice - GKS Tychy (na żywo)

EUROSPORT 1

14.00, 22.30 Snooker: Tour Championship; 18.40 Piłka ręczna: Liga Mistrzów, Pick Szeged - Industria Kielce, 20.40 Sporting Lizbona - Orlen Wisła Płock (na żywo)

EUROSPORT 2

17.00 Curling: MŚ w Ogden, USA - Włochy; 22.00 Golf: Valero Texas Open (na żywo)

POLSAT SPORT 1

17.45 Siatkówka: Liga Mistrzów, Aluron CMC Warta Zawiercie - Cucine Lube Civitanova; 2.00 Curling: MŚ w Ogden, Chiny - Polska (na żywo)

POLSAT SPORT 2

20.10 Koszykówka: Orlen Basket Liga, Orlen Zastal Zielona Góra - Energa Czarni Stupsk (na żywo)

POLSAT SPORT 3

20.00 Siatkówka: PLS 1. Liga, PSG Stal Nysa - GKS Katowice (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 2

17.45 Siatkówka: Liga Mistrzów, Aluron CMC Warta Zawiercie - Cucine Lube Civitanova (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 4

20.10 Koszykówka: Orlen Basket Liga, Orlen Zastal Zielona Góra - Energa Czarni Stupsk (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1

18.55 Siatkówka: liga turecka kobiet, VakıfBank Stambul - Eczacıbasi Stambul (na żywo)

CANAL+ SPORT 2

17.00 Tenis: WTA w Charleston (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmiany w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport

Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny

Tomasz MUCHA

Redaktor wydania Andrzej WASIK

e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl

Tel. 322587207

Wydawca

Edicom sp. z o.o.

ul. Hagera 41

41-800 Zabrze

Prezes Ryszard Halemba

Druk: Drukarnia Sosnowiec Polska Press

Spółka z o.o., ul. Baczyńskiego 25a;

41-203 Sosnowiec

WYMIANA KOSZULEK

Wojciech Kuczok



Szwedzki barter: wzięli awans, nam zostawili złudzenia

Cisnie się na usta parafrazowanko piłkarskich porzekadek, na przykład: „futbol to taka gra, w której dwudziestu dwóch facetów biega po boisku, a na końcu i tak przegrywają Polacy”. Skoro ostatni raz wygraliśmy w kraju Trzech Koron, kiedy mojej świętej pamięci mamusi nie było jeszcze na świecie, zwycięstwo w Sztokholmie miałoby wymiar absolutnie rewolucyjny, przełomowy, bez względu na obecną formę gospodarzy byłoby odczynieniem klątwy, poczyniłoby radykalne zmiany w naszej piłkarskiej samoświadomości. Spokojnie, rewolucji nie będzie. Przegraliśmy jak zawsze, jedyną niewiadomą pozostanie, czy aby na pewno „graliśmy jak nigdy”, bo tak twierdzi większość obserwatorów, nawet tych zwykle powściągliwych. Ja tam, choć dziedzicznie obciążony Alzheimerem, nie muszę sięgać pamięcią daleko – widziałem już ten wtorkowy mecz przed pięcioma laty. W meczu o wyjście z grupy na pocovidowym Euro, trenowani przez piękniśa Souse, pierwsi traciliśmy

gole, wyciągnęliśmy na 2:2 i dostaliśmy decydującego gonga w samej końcówce. Procentowe posiadanie piłki? Wtedy 59:41 dla nas, teraz 64:36. Celne strzały? Wtedy 6:4 dla Polski, teraz 7:5. W obu przypadkach mieliśmy do czynienia z tzw. pięknymi porażkami, w których podniecaliśmy się faktem, że Polska prowadziła grę, ośmielała się uprawiać atak pozycyjny zamiast taktyki „laga na Roberciaka”, wdawała się w wymianę ciosów jak równy z równym. W obu przypadkach kluczowe frazy komentatorów brzmią bliźniaczo podobnie: „Szwedzi byli do ogrania”, „Byliśmy lepsi”, tudzież „było blisko, ale zostaliśmy skarce-ni”. To ostatnie stwierdzenie wiele wyjaśnia: karci się dzieciaki, które za nadto brykają. Polska przegrała mecz z drużyną dojrzalszą, która skupiła się na konkretach; dali nam poszaleć, poszumieć, pohasać, ale w odpowiednim momencie to oni zadali cios nokautujący. Nie po rozpaczliwej kontrze, lecz po wielominutowym okresie wyraźnej przewagi, której konsekwencją był gol ostatecznie ośmieszający naszą defensywę. Najpierw Kiwior dał się w bocznym sektorze okiwać jak tycz-

ka, a potem reszta naszych obrońców dała się wyprzedzić trzykrotnie w kilka sekund: za pierwszym razem ratował nas Grabara, za drugim stupek, ale przy dobitce Gyokeresa nawet Matka Boska uznała, że nie warto na Polaków marnować cudów opiekuńczych. Po raz kolejny Szwedzi okazali się dla nas łaskawi i poszli na barter: wzięli awans, ale zostawili nam złudzenia. Przez ostatnie lata byliśmy nękani wdziękiem polskiej bezmyślności szkoleniowej spod znaku Michniewicza i Probiezra, po drodze jeszcze domaltretowani przez wędrownego dziada Santosa, więc pokątnie roniliśmy łzy za kadencją Paulo Sousy, tajdaka, co to nas uwiódł i porzucił, lecz przecież to za jego czasów po raz ostatni czuliśmy się piękni. I wreszcie mamy to! Znowu udało nam się przegrać, sprawiając dobre wrażenie. Och, jakie szczęście: nie wykopano nas z mundialu, ale uprzejmie wyproszone, głaszcząc po głowie na pożegnanie! W dodatku mamy alibi: sędzia sprzyjał gospodarzom! Nie demonizował-

bym – fakt, że parę razy pomylił się na korzyść Szwedów, ale przy naszej drugiej bramce VARowcy mogli równie dobrze uznać, że Lewandowski na spalonym jednak biernie angażował uwagę bramkarza. Owszem, faulu na wolny dla Szwedów przed ich drugim golem nie było, ale przecież to nie sędzia zagwizdał przeciw nam gola, tylko szwedzki stoper Lagerbielke poczęstował się prezentem naszej defensywy, skoro nikt go nie pilnował, trafił głową do siatki, bo niby co miał zrobić - wołać: „halo, Polacy, jestem tu, nadbiegam, będę strzelał!”. Było jeszcze parę deprymujących szczegółów, jak choćby odgwiżdżanie spalonego Kamińskiego wychodzącego na czystą pozycję na początku meczu, choć podawał mu piłkę Szwed, ale uznać, że arbiter wypaczył wynik byłoby jednak nadużyciem. Polacy nie zastużyli na takie usprawiedliwienie. Przybyli na galę w marynarce od Prady, ale zapomnieli włożyć gaci. Z przodu byliśmy kąśliwi, z tyłu niepetnosprawni. Ergo: po raz kolejny okazaliśmy

się drużyną nieźrównoważoną. Brednie o tym, że byliśmy lepsi irtują mnie jeszcze bardziej, niż wynik meczu – to tak, jakby uznać, że bokser, który wygrywał na punkty, ale padł po nokaucie w ostatniej rundzie, niezastużenie przegrał. Nasza kultura futbolowa jest zacofana wobec Szwedów – oni wiedzą, jak wykorzystywać swoje atuty nawet wtedy, kiedy mają ich mniej, my nie potrafimy wykorzystywać przewagi, pozostaje nam wieczny niedosyt, melancholijne rozkoszowanie się tym, jak niewiele brakowało, masochistyczna ekstaza sportowych męczenników, którzy cierpią za miliony. To polska piłka – zawsze nie dość, nieomal, prawie, o mały włos, nieustannie w budowie, lecz odwiecznie niedobudowani, żywiący się wspomnieniami przeszłej sławy i wizjami świetlanej przyszłości, lecz w czasie teraźniejszym nieobecni. Nasza kadra jest jak mityczny stadion Ruchu Chorzów, którego kolejne wizualizacje olśniewają, ale od kilku dekad wciąż nie przekroczono fazy przetargu na budowę.

Mała Flandria dla... czasowca

KOLARSTWO

Filippo Ganna z grupy INEOS Grenadiers wygrał Dwars door Vlaanderen. Dla Włocha, który specjalizuje się w jeździe indywidualnej na czas, to pierwsze zwycięstwo w zawodowej karierze w jednodniowym wyścigu.

Potężny Ganna (193 cm, 83 kg) wciąż łączy kolarstwo szosowe z torowym, gdzie zdobył wiele złotych medali mistrzostw świata i trzy olimpijskie krążki. Od lat zdecydowaną większość sezonu spędza jednak na powietrzu, a nie w hali, i znany jest przede wszystkim ze znakomitej jazdy na czas – ma na koncie mnóstwo zwycięstw w tej kon-

kurencji, w tym dwa tytuły mistrza globu i wygrane etapy choćby w Giro d'Italia czy Vuelta a Espana. W tym roku wygrał obie „czasówki”, w których startował (na Volta ao Algarve w Portugalii i na włoskim Tirreno - Adriatico), a wczoraj dołożył niespodziewany, ale w pełni zasłużony triumf w klasyku. I to w jakim stylu!

Dwars door Vlaanderen to prestiżowy belgijski jednodniowy wyścig, zwany także Małą Flandrią. Od tej właściwej – Ronde van Vlaanderen, jednego z pięciu kolarskich monumentów, czyli najważniejszych klasyków w sezonie, który odbędzie się w niedzielę – różni się przede wszystkim dy-

stansem. Jest znacznie krótszy (185 km przy aż 278), więc łatwiejszy, ale i tak w śróde kolarze mieli do pokonania 7 brukowanych płaskich odcinków i 12 krótkich, stromych podjazdów. Na jednym z nich, 40 km przed metą, zaatakował faworyt Wout van Aert (Visma-Lease a Bike). Na początku finałowej prostej Belg jeszcze samotnie prowadził, ale niedaleko przed kreską przegonił do Ganna, który popisał się wspaniałym długim finiszem.

– To dla mnie niesamowite zwycięstwo – cieszył się Włoch, który na trasie dwukrotnie musiał zmienić rower. – Wout van Aert spał się imponująco, złapanie go nie było łatwe – relacjonował triumfator. – Byłoby bardziej miło, gdyby meta znajdowała się 150 metrów wcześniej – przyznał przegrany.

Wczoraj na flandryjskich drogach rywalizowały także kobiety. O zwycięstwo powalczyły dwie najmocniejsze w stawce, które odjechały z peletonu kilkanaście kilometrów przed końcem. Na finiszu Szwajcarka Marlen Reusser (Movistar) okazała się szybsza od Holenderki Demi Vollering (FDJ United - SUEZ). Trzecia była rodaczka tej ostatniej, Lieke Nooijen (Visma-Lease a Bike), która dogoniła prowadzącą dwójkę tuż przed metą, ale nie starczyło jej już sił na skuteczny sprint.

(gsk)

Powtórka sprzed roku

Zespół Martina Schmidta znów triumfował w zabawie na Wielkiej Krokwi.

SKOKI NARCIARSKIE

W Zakopanem, zasypanym śniegiem, mieliśmy w środę ostatnie spotkanie ze skoczkami w tym sezonie. W imprezie Red Bull Skoki w Punkt wzięła udział najlepsza trójka w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata - Domen Prevc, Ryoyu Kobayashi i Daniel Tschofenig. Obok nich zobaczyliśmy wielu czołowych zawodników oraz grupę Polaków. To była już druga edycja tego rozrywkoowo-sportowego konkursu, w którym nie chodzi o jak najdłuższe skoki, a o precyzyjne wyładowanie na zaplanowanej odległości. W sumie czterech zawodników w każdym z pięciu teamów miało uzyskać 1000 metrów.

I podobnie jak przed rokiem najlepsza okazała się drużyna Martina Schmidta, która właśnie tyle uzyskała.

Zanim jednak rozpoczęło się skakanie na Wielkiej Krokwi w akcji zobaczyliśmy kapitanów, którzy rywalizowali na mobilnej skoczni K-4. Jakże były wyniki? Najlepszy był Schmidt, który „poleciał” na 4 metry. Za nim Adam Małysz i Thomas Morgenstern po 3,5 m oraz Andreas Goldberger i Janne Ahonen po 3 m.

Na prawdziwej skoczni było dużo sportowej rywalizacji i zabawy, ku uciesze licznie zgromadzonej widowni. W ekipie Schmidta byli Słoweniec Anže Lanišek, Dawid Kubacki, Niemiec Andreas Wellinger i Norweg Marius Lindvik. O jej sukcesie przesądziły idealne skoki, czyli na wyznaczonej odległości, w drugiej serii Kubackiego i Lindvika. W przypadku tego pierwszego pomógł jeszcze tak zwany Joker, wręczony przez Roberta Kubicę. To były trzy punkty dołożone do sumy odległo-

ści. Schmidt mógł skorzystać z jeszcze jednej takiej bonifikaty po skoku Lindvika, ale zrezygnował, bo jego team miał już wymagane 1000 m.

Kolejne miejsca zajęty: 2. Team Adama Małysza (999 m): Klemens Joniak, Piotr Żyła, Vladimir Zografski (Butgaria), Jewhen Marusiak (Ukraina), 3. Thomasa Morgensterna (998,5 m): Ryoyu Kobayashi (Japonia), Paweł Wąsek, Daniel Tschofenig (Austria), Tate Frantz (USA), 4. Andreasa Goldbergera (998 m): Domen Prevc (Słowenia), Aleksander Zniszczoł, Valentin Foubert (Francja), Alex Insam (Włochy), 5. Janne Ahonena (996,5 m): Gregor Deschwand (Szwajcaria), Maciej Kot, Kristoffer Sundal (Norwegia), Karl Geiger (Niemcy)

Dla statystyków podajemy jeszcze, że najdłuższe skoki oddali Domen Prevc 141,5 m i Daniel Tschofenig - 140 m.

(awa)



Fot. INEOS Grenadiers

Radość zwycięzcy i rozczarowanie przegranego, dwóch bohaterów śródownego wyścigu.



PAP/Grzegorz Motot

Dawid Kubacki skoczył tyle ile sobie zaplanował.